

## ROZDZIAŁ X

### CZAS OD DNIA 7-11 MAJA

Dnia 7 maja, o wschodzie słońca, po obfitej rosie usłyszeliśmy muzykę moskiewską; wydawało się nam, że nieprzyjaciel był tuż koło nas. Zerwali się ze snu wszyscy, co dostrzegłszy, dałem znak, aby przynajmniej usiedli.

Sam zaś klęknąłem, i wzniosłem modły do Boga, przekonany, że za chwilę przyjdzie może zmierzyć się nam po raz ostatni z wrogiem. Uspokoilem się jednak zaraz, na widok spokojnie stojących na stanowiskach przewodników, mimo ciągłych bębni i wygrywań marszów przez Moskali, i to przeszło godzinę. Byliśmy teraz pewni, że nas nie odkryli.

Gdy już upłynęło przeszło pół godziny, po ucichnięciu muzyki i bębni moskiewskich, wrócili ustawieni włościanie z zawiadomieniem, że i dwaj inni idą spokojnie. Ostatni oświecili nas, że Gołubów, nie zastawszy już nikogo z powstańców w miasteczku, a bojąc się widać na noc udać do puszczy za Czachowskim, w temże zanoćował. Dalej, że stolarze całą noc musieli robić 6 trumien dla tyluż oficerów, poległych wczoraj pod Rzeczniewem, a których przebranych w żołnierskie płaszcze, Moskale, jako niby jedynych zabitych swych szeregowców przywieźli, i dzisiaj ze słyszaną przez nas muzyką i wielką paradą, na cmentarzu parafjalnym w Grabowcu pogrzebali, a potem już poszli do puszczy za Czachowskim, przez Wolę Modrzejową.

Podziękowawszy patriotycznym przewodnikom za ich braterską dla nas usługę, i wynagrodziwszy ich za trudy, choć tego przyjąć się wzbranieli, odprawiłem ich do domu. Tymczasem zacni mieszkańcy Pasztovej Woli, pożywili nas i dali nam trzech nowych przewodników i szperaczy po puszczy, dla odkrycia nie tylko Moskali, ale i śladu Czachowskiego.

W dniu 8 maja, który był również pięknym i gorącym jak wczorajszy i onegdajszy, upewniwszy się, że w pobliżu nie natrafimy na Moskali wyszliśmy z lasu do Lubienia, gdzie oczekiwało na nas już jakie takie śniadanie; gdyż wieś ta, chociaż dosyć duża, mając jednak liche, sapowate i niewielkie grunta, nie była wcale zamożną, a często gościła i żywiła różne nasze oddziały. Tu również jak i w dniu wczorajszym, dowiedziałam się tyle tylko, że Czachowski zaledwie w środku puszczy, przy pomocy oficerów i kawalerji, zdołał wstrzymać pierzchających podkomendnych i część przodujących w haniebnej tej rozsypce, Grelńskiego uciekinierów. Choć trochę takowych uporządkowawszy, zajął był w powyższem miejscu na noc stanowisko.

Lecz upadek moralny jego podkomendnych, głównie z powodu niewiadomości, co się stało z najdawniejszymi jego żołnierzami, i najlepszą broń posiadającymi, był tak wielki, że około 250, przeważnie kosynjerów i reszta Grelńszczyków, wymknąwszy się w ciemności nocy z bronią swą, którą wielu porzuciło w lesie, uciekli.

Można sobie wystawić oburzenie i gniew starego wodza! Ulegając jednak chwilowej sytuacji, udał spokój: rozkazał porzuconą przez uciekinierów broń pozbierać a naładowawszy ją na swe furgony, w południowo wchodniem kierunku dalej pomaszerował.

Przeciągnęliśmy przez Lubień, jako w dzień świętego Stanisława ze śpiewami:

«Kto się w opiekę poda Panu swemu» - i pomaszerowaliśmy dalej już sami ku obozowisku, pod Budami; gdyż przed wieczorem, wczoraj, zacnych włościan wsi z Pasztovej woli pożegnaliśmy, wyprawiając ich z powrotem do domu.

Około godziny 12 rano, wyprowadziłem swych towarzyszy na trakt z Iłży do Ostrowca, zaledwie o paręset kroków od karczmy. Tu, obok potwierdzenia wieści o kolumnie Czachowskiego, dodano objaśnienie: iż nowa kolumna moskiewska, z czterech rot piechoty i kawalerji, dzisiaj rano tędy przeciągnęła, i poszedłszy na południe, drogą ku Ostrowcowi, rzeczywiście skręciła na wschód, ku Dankowu borami wiodącą. Poprowadziłem więc i ja towarzyszy traktem na południe, a około godziny 12 w południe dopędziły nas pospiesznie dwie bryczki mieszczan z patrijotycznej Iłży, wiozące pełno na nich różnych wędlin dla oddziału Czachowskiego, który według nich miał nocować w Dankowie. Zakupiłem więc od nich dla siebie i towarzyszy część takowych, i przepuściłem ich dalej, przed sobą. Opowiedzieli mi przytem mieszczanie, jaki skutek bezwzględne nasze postępowanie z Moskałami, w bitwach pod Stefankowem i w Bałtowskich lasach dla naszych rannych spowodowało.

Pułkownik Zwierow, gdy w miasteczku Siennem zastał naszych rannych, nawiedził wszystkich, a przemawiając do nich, po moskiewsku, uspokajał, aby się go nie bali; bo on, chociaż Zwierow, ale nie zwierz, i nie Czengiery, jak się sam miał wyrazić. Prócz tego kazał natychmiast swym felczerom i lekarzowi rany ich opatrzyć, nastawił samowary i herbatą ich częstował. Zaś przed wymarszem z tego miasta, pozostawił na piśmie pozwolenie na założenie szpitala dla rannych powstańców w miastach: Siennie, Iłży i Wąchocku, a to pod kontrolą swoją.

Otóż i tu, pokazał się dowodnie charakter azjatyckiej Moskwy.

Dopokąd bowiem powstańcy z r. 1863 po ludzku obchodzili się z jej jeńcami wojennymi, obdarzając ich wolnością, a nawet dając im i pieniądze na drogę, to ci, zaledwie uszli po za ich obóz o pół mili lub trochę dalej, odplacali się im za to: rabowaniem i paleniem siół, leżących na drodze ich i mordowaniem spokojnych mieszkańców; towarzysze zaś ich, znów mordowali i dobijali naszych rannych.

Jakże tylko zaczęliśmy bezwzględnie z nimi w rzeczonych bitwach postępować, tak zaraz jakby w nagrodę teg otrzymaliśmy akt ich urzędowy, dowodzący szacunku i względności dla nas. Z czego niech każdy, którego los fatalny zmusi do przestawiania lub walczenia z tym barbarzyńskim, okrutnym, ciemnym i zupełnie dzikim, a podstępny i przewrotnym narodem i jego azjatycko-bizantyńskim rządem, misję tylko zniszczenia i zburzenia wszelkiej cywilizacji za jedyny swój cel istnienia i powołania uznającym - tu czerpie na dowodach opartą naukę, mianowicie: że tylko siłą pięści, zmusić go można do poszanowania praw ludzkich, bo żadnego hamulca moralnego nie pojmuje nawet.

Maszerując dalej śladem mieszczan Iłżeckich, ku Dankowu<sup>86</sup>, była może już 3 po południu, gdy ujrzelśmy ich wracających spienionymi końmi i wołających z daleka: aę Czachowski nadedniem opuścił już Danków, i pomaszerował ze swymi ku Wiśle; bo Moskale zewsząd ciągną na niego. Ci zaś, co tędy dziś śladem Jego ciągnęli, zkądś się dowiedzieli, że idziemy za nimi. Opuściwszy przeto ślady jego, wracają się na nas, i ztąd są niedaleko.

Gdy poczciwi mieszczanie znikli, tyłem weszliśmy w gąszcze, i po zrobieniu kontr marszu, poszliśmy na północny zachód.

Maszerując forsownie, wraz z zachodzącym słońcem przeszliśmy przeszło mil 3, i

---

<sup>86</sup> Drażkiewicz ma na myśli Denków.

wyszliśmy do kilku chałup, zwanych Maziarze, pomiędzy wsiami «Koszary Iłżeckie» a «Pasztową Wolą», jednakże wewnątrz puszczy jeszcze. Przeszedłszy około dwóch chałup osady tej, i zaleciwszy mieszkańcom ich zupełne o nas milczenie, a mieszkali tu w nich ludzie sprawie naszej narodowej zupełnie oddani -zajęliśmy klin zaszanowanego mocno podszytego lasu za osadą powyższą, na skraju puszczy leżący, a zaledwie jakie sto morgów liczący.

W godzinę po roztasowaniu się, usłyszałem po rosie granie rogów i bicie bębnow moskiewskich na południowy zachód, traktem od Ostrowa do Iłży.

Wyprawiłem natychmiast dwóch podoficerów, ażeby od południa i wschodu poczawszy, obiegli linią naszych wedet. Sam zaś pobiegłem szybko w kierunku południowo zachodniego rogu lasu, i za pierwszemi drzewami ukryty, szarzejący już trakt obserwować zacząłem.

Kolumna moskiewska składała się: z batajlonu piechoty, szwadronu dragonów i sotni kozaków. Kilku kozaków poskoczyło do chałup, i wkrótce powróciło do reszty swej awangardy spokojnie, a o kilka tylko krokówodemnie.

Poczcivi mieszkańcy, mimo groźb i razów nahajki, przez Moskali zwykle używanych przy rozpytywaniach, stanowczo oświadczyli, że żadnych powstańców tu dzisiaj nie było.

Wieczorem przyjechała do nas niejaka pani L. ze swą córką, aż z Warszawy, pragnąc się zobaczyć z swym synem, młodym chłopcem, w ostatnich dniach na oficera awansowanym, którego jednak między nami nie było, gdyż się znajdował przy Czachowskim.

Pani L., niespokojna o los jedynaka, postanowiła na całą noc jechać, i wraz z naszym wodzem go odszukać. Skorzystałem z tak szczęśliwego trafu, i napisawszy do Czachowskiego treściwy raport, żądałem dalszych jego rozkazów. Z paniami pojechał Dolnicki przebrany.

Następnie wyprawiłem do członka organizacji wezwanie, aby dnia następnego, przed wschodem słońca, w Pasztowej Woli, oczekiwało na nas trzydzieści sześć podwód i gotowe śniadanie.

W nocy usłyszałem sprzeczkę na pierwszej wedecie, na drożynie nie daleko chałupy wsi Maziarze, po polsku i po moskiewsku toczoną. Był to dezertor, Jan Markowski, ze Smoleńskiego pułku, z kolumny, która tędy dopiero co przeszła. Chociaż Moskal i prawosławny, ale chciał wstąpić do nas jako ochotnik. Wzięliśmy go na obserwację między siebie.

Oprócz swego karabina przyniósł i drugi, zarzucony przez plecy, drugi tasak żołnierski i po 75 ładunków w dwóch patrontaszach z odpowiednią ilością kapsli.

Dnia 9 maja, dodnia, wymaszerowaliśmy i stanęliśmy w Pasztowej Woli, gdzie -zjadłszy ugotowane dla nas przez zacnych włościan tej wsi śniadanie, siedliśmy na podwody, i temiż przez Ciecierówkę wjechaliśmy w lasy, około Czerwonej woli, gdzie był oddział Jankowskiego, aby się chwilowo o niego oprzeć. Znaleźliśmy go tam istotnie, i zostaliśmy jak najserdeczniej przyjęci, pomimo bardzo brzydkiego figla spletanego Czachowskiem. Chciał nas koniecznie przy sobie zatrzymać, aleśmy odrzucili tę kusicielską propozycję, chociaż u niego ani głodno, ani takich nadludzkich wysiłków i nieustannych bojów nie znano. Chodziło nam jednak o dostanie od niego potrzebnej nam amunicji, dla tego z początku udawaliśmy, że się wahamy z przyjęciem jego propozycji. Mówiliśmy mianowicie, że jeżeli życzy sobie, abyśmy z nim wspólnie poszli dalej,

możemy to tylko uczynić wtedy, gdy zaopatrzy nas choć cokolwiek w amunicję, której u Czachowskiego wieczny brak czuliśmy.

Wtedy zaczął nam opowiadać Jankowski, jak to u niego, w Stanisławowskim, zawsze jej jest dostatek, oraz że broni belgijskiej posiada w różnych stronach powiatu rzeczono do 1500 sztuk, i więcej jeszcze ma już zamówionej i zapłaconej za granicą, którą przez Prusy, puszcę Myszyniecką i moczary oraz lasy nad Narwią, Bugiem i Liwem sprowadzać mimo czujności wroga jest łatwo. Zbywa mu tylko na odpowiednich ludziach, szczególniej dobrze już ostrzelanych i z prowadzeniem partyzantki obeznanych; lecz nie może takiej wyborowej broni w ręce nowicjusów powierzać, którzyby mogli łatwo takową zmarnować. Miło mu jest przeto, skoro decydujemy się z nim dalej maszerować,- i może zaopatrzyć nas w amunicję. A kazawszy wydobyć z furgonów mnóstwo: pieczonych prosiaków, słoniny, wędlin, wódki, piwa, chleba, obficie niemi nas uraczył; dla oficerów zaś, i wina dostatek się znalazł. Gdy pożywaliśmy to drugie dziś śniadanie, podkomendni jego, lali odpowiedni kaliber do naszych broni kul, i robili ładunki dla nas, tak że w kilka godzin pożywiwszy się i naprawiwszy sobie wzajemnie komplementów, pomaszerowaliśmy już z nim niby dalej.

Lepsza też otucha i fantazja do nas przystąpiła, gdy uczuliśmy się na nowo uzbrojeni, i o dość silny oddział, liczniejszy od naszego dawnego oparci, a obecnie posiadający kawalerję. Wino, którego u Czachowskiego nie znaleźliśmy, podochociło, a pożywny pokarm wrócił nam siły, strasznie wycieńczone rekolekcjami i postem wiecznym, jaki odbywaliśmy u starego naszego wodza. Wiara też nasza, dogodziwszy sobie należycie, wyśpiewywała teraz ochoczo różne patryotyczne śpiewy, które echo lasów daleko roznosiło.

Okolo 1, po południu, zatrzymaliśmy się przy jakimś dworku, niedaleko od Kazanowa, pod samemi lasami. Tu znów czekał na oddział ugotowany obfity obiad. Oficerowie zaś wszyscy jego, których miał bardzo wielu, wraz z nami udali się do tego dworku, gdzie do osobno zgotowanego dla nas obiadu, suto: w wino, porter, piwo, zaopatrzonego, zasiedliśmy.

U Jankowskiego oficerowie byli: honorowani, wyróżniani i zbytnio komplementami, z jego strony obsypywani, co nas przykro raziło.

Gdy po zbytkownym jak dla powstańców obiedzie, Jankowski oświadczył, że dopiero zmiierzchem, udamy się w pochód dalej; więc raczono nas: herbatą z rumem, ponczem, cygarami dobrymi, tytoniem, i w różny sposób starano się uprzyjemnić pobyt, nam, Czachowczykom, niejako zdziczałym i odwykłym od wszystkiego, nie już komfortu, ale i wygod. Napisałam ztąd znów sekretne zawiadomienie do organizacji Radomskiego powiatu, aby natychmiast postarała się uwiadomić Czachowskiego i Dolnickiego, dokąd za nami mają dążyć.

Urządzanie osobnych obiadów dla oficerów, uważałam za największy błąd.

Kraj nasz, jako wyniszczony rozmyślnie przez wrogów, był ubogim; pieniędzy na daleko ważniejsze rzeczy, jakimi były broń i amunicja, okazywał się ciągły brak, a tu marnowano bezpotrzebnie grosz krwawy narodu, szkodząc jednocześnie świętej jego sprawie.

Znudzony i smutny, wieczorem ciemnym dopiero, wymaszerowałam z powyższego dworku z Jankowskim, i przeszedłszy przez jakieś mocno wodą zalane łąki, a następnie miasteczko Kazanów, skręcając polami, weszliśmy w lasy Zwoleńskie. Przekroczywszy tu trakt z Radomia do Zwolenia, poszliśmy dalej znów na północny zachód, i okolo

północy, na jakiejś polanie, stanęliśmy obozem i przenocowaliśmy bez ognisk.

Dnia 10 maja, rano, wyruszyliśmy z noclegu, i pomaszerowaliśmy w kierunku wchodnim, nieco na południe. Około godziny 10 rano, stanęliśmy obozem na polu, od strony południowej wsi Czarnej. Tu znów osobno gotowano obiad dla żołnierzy i podoficerów w polu a osobno, i to wystawny dla oficerów we dworze.

Na obiedzie tym, gdy Jankowskiemu się zdawało, że dostatkiem wina nas rozruszał; bo byliśmy ciągle zamyśleni i smutni, myśląc o naszym starym wodzu i towarzyszach, z którymi się zżyliśmy i zrosli najmocniejszym węzłem krwi przelanej za ojczyznę - zaczął teraz wprost podsuwać nam propozycję, złączenia się z jego oddziałem.

Gdy jednak ujrzał, że udajemy jak byśmy tego nie słyszeli lub nie rozumieli, zaczął rozwijać przed nami plan, dla którego nas, choćby tylko na jakiś czas pozyskać chciał.

Plan ten zależał na tem: by teraz, gdy Moskwa ma zaledwo 6000 żołnierzy w Warszawie, podstąpić pod stolicę i zaalarmować takową od strony Pragi.

On, mając już 1500 dobrze wyćwiczonych żołnierzy, w różnych lasach Stanisławowskiego powiatu ukrytych i w broń belgijską zaopatrzonych, a tu pod Czarną 600 ludzi pod bronią - gdybyśmy się więc zdecydowali, moglibyśmy to wykonać.

Gdyby ta siła była podług nas nie wystarczającą, mógłby dodać z 1000 ludzi, bo jest pewnym, że na jego każde zawezwanie, nawet więcej się znajdzie tam ochotników. Maszerując nocami i lasami, zgromadzić zdoła te wszystkie siły, które wtenczas przeszło 3000 ludzi wyniosą, i ani się spostrzegą Moskale jak z niemi uderzy jednej nocy na Pragę. Nie myśli wcale kusić się o jej zdobycie, co bez artylerji byłoby po prostu szaleństwem, lecz chodzić mu będzie tylko o zaalarmowanie stolicy, dla obudzenia ducha patriotycznego u ludności, i zmuszenia Moskali pościągania swych sił z województw, któremi gnieła ostatecznie powstanie po kraju.

Przyznam się, że myślą powyższą mocno nam zaimponował; odrzekliśmy przeto zgodnie, że jeżeli Czachowski, do chwili przejścia przez nas Wisły, jakiego rozkazu nie nadeszle, to do wykonania powyższego planu, wspólnie należeć będziemy. Na co daliśmy sobie słowo i rękę.

Około 4, popołudniu, wyruszyliśmy z Czarnej na północny zachód a o 10 w nocy, przybyliśmy do wsi Jedlni, w której oddział Jankowskiego stanął po kwaterach i objął służbę obozową; my zaś, w szyku biwakowym, stanąwszy frontem za jej ogrodami, ułożyliśmy się zwyczajem naszym w polu do snu.

Dnia 11 maja, w którym mieliśmy rozpocząć marsz na Warszawę, około godziny 3 rano, dopędził nas kapitan Dolnicki, przywożąc dla nas inny rozkaz Czachowskiego.

Po wymarszu swym z Dankowa, naczelnik nasz, wymykając się z rąk otaczających go kolumn moskiewskich, z pozostałą częścią oddziału, wielce upadła na duchu i w dalszym pochodzie, coraz więcej topniejącą - wszedł z temi resztkami do miasteczka Solca wieczorem. Tu, nad ranem, zawiadomiono go, że Galicjanie z dawnego oddziału Łopackiego, widząc się tylko o mil trzy od granicy swej prowincji, w nocy umknęli w większej połowie a co najgorsza, posprzedawali swoje uzbrojenie żydom, biorąc od nich po rublu srebrem za karabin.

Taką to wielką demoralizację i upadek moralny sprawiło wcielenie zdemoralizowanych resztek Grelińskiego i zły przykład, dany przez Jankowskiego! My, zakordonowcy, o takiej podłości pojęcia nie mieliśmy.

Zawrzał też nieopisanym gniewem, oburzeniem i pogardą, nas stary naczelnik, i natychmiast wykupiwszy od Żydów, sprzedaną im krwawo przez nas okupioną broń, z

takową i resztkami swej kolumny wyruszył na południowy zachód.

Gdy doszedł w dość duże lasy, koło Ciszycy i Wilczyc, w takowych zatrzymał pozostałych przy nim, a w uniesieniu, zapominając się, że właśnie ci trzymaniem się dalszem sztandaru udowodnili, że najmniej byli winnymi haniebnego zejścia, na placu bitwy pod Rzeczniewem, w ostrych słowach wyrzuciwszy im tchórzostwo i stratę naszą - dotąd bowiem nie wiedział o dalszem naszym istnieniu - rozkazał im natychmiast złożyć broń, i wrócić do domów. Przedstawienia i błagania, aby ich nie gubił, gdyż otaczający go Moskale, po wyjściu z tych lasów ich wyłapiają, i zabrawszy do niewoli, mścić się nad nimi za miłość ojczyzny nie omieszkają - nic nie wskórały. Nieugięty starzec, w najwyższej passji, krzyknął do nich:

-Tchorzów i sprzedających broń za cenę krwi szlachetnych zdobytą, nie potrzebuję więcej. Mając broń, będę miał dosyć ludzi, którzy z godnością takową na pożytek ojczyzny nosić i bić się nią będą. Składać natychmiast broń!

A gdy to wykonano; zatrzymawszy tylko oficerów i część podoficerów, reszcie kazał iść precz, gdzie oczy poniosą. Utaił tak swój plan, a potem, gdy szeregowcy zrozpaczeni musieli się oddalić, Czachowski, rozkazał spakować wszelką broń i amunicję na furgony. Reszcie kazał siąść na konie, tworząc z nich kawalerję, w liczbie 45 jeźdźców; a następnie w lasach, blisko tego miejsca, gdzie było więcej: liścia, szpilek i szyszek, podściółkę tę leśną, usunawszy na boki, wykopał doły, i w nich złożył przywiezioną broń i amunicję, przysypując po wierzchu tą podściółką, aby wszelki ślad dla Moskali zatrzeć.

Gdy wydostał się z lasów na pole, furgonistów, których do czynności powyższej nie używał, rozesał polnemi drogami pojedynczo do różnych dalszych dworów, dla ukrycia ich aż do dalszych rozkazów; z kawalerję zaś, podążył i zajął wieś Słupię Nadbrzezną, po nad samą Wisłą.

Postanowiwszy przejść w Lubelskie, na jakiś krótki czas, aby Moskalom choć na chwilę zejść z oczu - rozkazał we wsi rzeczonej natychmiast robić tratwy, dla przepłynięcia się na drugą stronę rzeki.

Tu dopadł go w nocy, czuwającego osobiście nad spiesznym wygotowaniem rzeczonych tratw, Dolnicki z raportem naszym i wezwaniem objęcia na nowo dowództwa.

Rozpłakał się jak nam potem wysłany przez nas oświadczył, i wyrzekł radośnie:

- Dzięki Ci Boże! Więc żyją i są wolni, moi strzelcy? Nie wszystko zatem stracone. Bo uważał dotąd nas za przepadłych.

A gdy przeczytał nasz raport, to się ucieszył, że lubo ponieśliśmy ciężkie straty; ale o wiele dotkliwsze zadaliśmy nieprzyjacielowi.

Że zaś liczba poległych Moskali, prócz oficerów, których Bergi<sup>87</sup> i Racze<sup>88</sup> też podają, wynosiła istotnie prócz tych 87 - sprawdzili to włościanie z Rzeczniewa, którzy po bitwie szukając swoich zabitych i rannych, natrafili na dół, wykopali trupy poległych Moskali, i porachowali je skrupulatnie. Kto zna nienawiść ludu zakordonowego do Moskali, dla tego postępek ten będzie całkiem naturalny. Inny dowód nabicia znacznego tu zniechęconych najezdników, było to upamiętnienie tego faktu, mianowicie: chłopci powydłubowali kule moskiewskie z drzew, i lejąc z nich pierścionki i obrączki, jako

<sup>87</sup> Chodzi o pracę Nikołaja Berga, *Zapiski o powstaniu polskim 1863-1864 r.*, Kraków 1898 - 1899.

<sup>88</sup> Zapewne chodzi o pracę Wasilija Raczca, *Swiedienija o polskom mjatjeże 1863 g. w Zapadnoj Rossii*, Petersburg 1883.

pamiętkę bitwy pod Rzeczniewem, za dobre pieniądze je sprzedawali, tak że pełno ich po tem w Sandomierskim widzieliśmy, przez inteligencję nawet noszonych. - Moskalofile nowomodni ze swym bydłem krętaczem Spasowiczem<sup>89</sup>, złotomostowicze głupcy, bo o łotrach nie mówię, warto, aby dobrze to zapamiętali.

Rozkaz Czachowskiego brzmiał: abyśmy w nocy, z 11/ 12 maja, we wsi Wielgie około północy się stawili, gdzie pode dworem oczekiwać nas będzie.

Odczytawszy na głos powyższy rozkaz wszystkim towarzyszom, wyprawiliśmy Dolnickiego do Jankowskiego, aby oświadczył mu: że ulegli rozkazowi naczelnika, za chwilę do niego wyruszamy.

Gdy Dolnicki powrócił, opowiadał nam, że Jankowski wpadł w gniew, i nie potrafiwszy się pohamować, wyrzucał, żeśmy go podeszli, by z amunicji go ogołocić, jak by ta nie była nabytą za pieniądze narodowe. Przykro nam się zrobiło, po wysłuchaniu powyższego sprawozdania; myśleliśmy, że Jankowski się uspokoiwszy, zjawi się przynajmniej do nas na pożegnanie; oczekiwaliśmy pewien czas na niego, stojąc pod bronią, lecz napróżno. Trwało to jednak krótko, bo mieliśmy dnia tego przeszło mil dziesięć do zrobienia.

Ruszyliśmy w pochód jakby naelektryzowani pewnością spotkania naszego starego wodza; duch we wszystkich nas energiczniejszy wstąpił, i ze śpiewem patriotycznym pożegnaliśmy zdaleka, budzącą się ze snu Jedlnię. Pomaszerowaliśmy ku południowemu wschodowi.

Niedaleko Zwolenia, w lasach jeszcze, przeszliśmy z powrotem trakt do Radomia około godziny 12 w południe, polami, przyszliśmy do wielkiej i zamożnej wsi, Tuchowa, której mieszkańcy zawiadomieni obfity dla nas obiad na środek wsi, obok kościoła natychmiast wynieśli, i serdecznie a szczerze nas ugościli.

Znużony silnym marszem, pragnąłem choć chwilowego spoczynku; ale figlarz Dolnicki zwabił mnie do dworu, gdzie śliczne panie z Radomia, dobre moje znajome, serdecznie mnie powitały, rozpytując się o losy swych krewnych, którzy byli w naszym oddziale. Byłem ogromnie żenowanym, bo padając w rów pod Rzeczniewem, potłukłem przy sobie flaszeczkę z atramentem chemicznym do tajnej korespondencji, a ten mi haniebnie spodnie powypalał i odzież poplamił. Ale to nic nie umniejszało serdeczności i uwielbienia tych pań, cnotą i patriotyzmem rozplamionych.

Utraktowani we dworze suto, z winem, pożegnaliśmy jego zacnych gospodarzy, i około godziny 4 po południu wyruszyliśmy dalej, w południowym kierunku; punktualnie około 1ej, w nocy, doszliśmy do dworu wsi Wielgie.

Maszerując na czele kolumny, dostrzegłem w cieniach nocy stojącego o kilka kroków przed rogiem dworu, w jego krótkim baranim kozusku i rogatywce, starego naszego wodza.

Gdym się zbliżył do niego, i milcząco salutując minąć chciałem, rzucił mi się na szyję, ściskając mnie i całując serdecznie, ze słowami:

- Jakże się to stało, stary, że ty żyjesz? - i zaczął opowiadać jak mnie widział padającego w rów, i sądził, że zabity.

Rozrzewniony, tem serdecznem powitaniem i pamięcią ukochanego wodza, uśmiechnąłem się - i odpowiedziałem:

- Widać, ojcze! że jest wola Bożą, abym żył długo; skoro po śmierci i pogrzebie,

---

<sup>89</sup> Autor nawiązuje do ugodowego stanowiska wobec Rosji Włodzimierza Spasowicza (1829-1906), historyka literatury, prawnika, członka ugodowego Stronnictwa Polityki Realnej.

rozpoczynam na nowo teraz drugi swój żywot.

Rozśmiał się na to również, stary wódz, i odwracając się do reszty przeciągającej, a milcząco tylko prezentującej przed nim broń wiary, wyrzekł:

- No, idziez spać, do stodół! Macie tam otwarte klepiska, i pełno na przyjęcie wasze przygotowanej aż po banty mierzwiastej słomy; a na rano, już zamówione śniadanie. Wyśpijciez się choć raz dobrze, bo jutro już weźmiemy się znów do roboty. Ja dzisiejszą noc, sam z moją kawalerją, będę osobiście nad bezpieczeństwem waszem czuwał.

Byliśmy rzeczywiście, odbyłym dzisiaj forsownym marszem, nadzwyczaj znużeni i senni; gdyśmy też weszli do stodół, pozaszywaliśmy się literalnie w słomę, i snem kamiennym posnęli.



## Rozdział XI

### CZAS OD 12 DO 14 MAJA

Dnia 12 maja, dopiero o godzinie 9 rano, ledwie się nas dobudzono. Wyłażąc ze słomy, podziwialiśmy, że jedni drugich ciężarem własnym nie podusiliśmy; gdyż rzeczywiście prawie jedni na drugich, warstwami coraz wyższymi, a idącymi w górę, aż ku bantom, jak się wystowił Czachowski, spaliśmy.

Uraczono nas zaraz śniadaniem z dobrego kapuśniaku z wędlinami, a około godziny 12 obiadem, ugotowanym już w naszych kotłach: z rosółu, sztuki mięsa i kaszy jaglanej ze szwedami.

Wypocząwszy do godziny 1 popołudniu w Wielgiem, wymaszerowaliśmy na wschód a w lasach, na Rozdrożu, stanęliśmy obozem i przenocowaliśmy.

Nazajutrz, 13 maja, przenieśliśmy obóz w inną stronę lasów. Musztrowaliśmy się tu cały dzień, ładunki robili i organizowali na nowo; gdyż i z rozpuszczonych przez Czachowskiego, w lasach około Ciszycy i Wilczyc, dawnych naszych towarzyszy, pojedynczo z powrotem do szeregów wstępować już niektórzy zaczęli.

Od nich dowiedzieliśmy się, że gdy po rozpuszczeniu lasów wyszli, otaczająca Moskwa, zatrzymała ich na drodze; ale ponieważ w tym czasie car ogłosił amnestią<sup>90</sup>, przeto oni, śmiało jej odpowiadali, że wracają z lasów do domów, albowiem Czachowski kazał im broń złożyć i oddział swój zupełnie rozpuścić. Zapisawszy ich imiona i nazwiska oraz miejsce zamieszkania każdego z nich, Moskwa, pod strachem Europy, wtenczas dozwoliła im odejść swobodnie, upominając tylko grzecznie, aby prosto do swych siedzib i zajęć wracali.

Gdy zaś Czachowski znikł był wtedy z jej oczu, uwierzyła przeto naprawdę tym bajkom i dała możliwość nam się wzmocnić.- Oto rozwiązanie zagadki rozpędzenia chwilowego oddziału.

Tegóż dnia- Markowski, Rogójski i Dolnicki, awansowani zostali na majorów. A jednocześnie przybył do nas Zacharczenko<sup>91</sup>, z Kaukazu, podoficer Czarnomorski, potomek dawnych Zaprozczów, przez Katarzynę tam przesiedlonych, a syn generała moskiewskiego; żonaty i ojciec kilkorga dzieci, który gdy go doszła wiadomość, że Polska powstała, porzucił: dom, żonę i dzieci, i uzbrojony po kozacku należycie, nawet zbyt kownie, bo aż w dwie dobre i kosztowne janczarki- o 2000 wiorst z górą na Charków, Kijów i Warszawę, do królestwa, jako ochotnik, za sprawę Polski walczącej stanął do szeregów.

Organizacja wysłała tego bohatera do oddziału naszego, gdzie z otwartymi rękami i sercem, prawdziwie bo bratersku przyjęliśmy. Dzielnego też zdolnego i walecznego w nim kawalerzystę i instruktora pozyskaliśmy. - Był to wzór idealnego Rusina, do naśladowania dla dzisiejszej młodzieży ruskiej, zamiast lizania łap Moskwie.

---

<sup>90</sup> 15 kwietnia 1863 roku został ogłoszony manifest carski udzielający amnestii wszystkim powstańcom, którzy złożą broń do 13 maja.

<sup>91</sup> Pobyt w oddziale Zacharczenki potwierdza historyk rosyjski Ilja Miller, *Z armii carskiej do szeregów powstańczych* w: W. Dżakow, I. Miller, *Ruch rewolucyjny w armii rosyjskiej a powstanie styczniowe*, Wrocław 1967, s. 379.

Las na Rozdrożu był sosnowy, wysokopienny, wcale nie stary; gdy też drugiej nocy napadł nas tu naj niespodziewaniej po gorącym dniu, chłodny, rzęsimy i długi deszcz w nocy, i przemoczył do nitki, musieliśmy przeto, około północy, głównie ze względu na broń, poszukać gdzieś schronienia pod dachem. Zbudzeni ze snu, dzwoniliśmy zębami, dygocąc od chłodu, i nareszcie dobiliśmy się do jakichś dwóch chałup i stodołek, które to ostatnie zajęliśmy, nie budząc nawet ich właścicieli.

Umieściwszy się w nich jak śledzie w beczce, na gołej ziemi ułożyliśmy się do snu, obstawiwszy się silnie wedetami i czatami; przy zamkniętych wrotach, przenocowaliśmy spokojnie. Około 8 rano, gdy deszcz się zmniejszył, dnia 14 maja, powróciliśmy znów w też same lasy, ale idąc już na północno zachód. Słońce około południa nas obsuszyło, a potem, dobrze później, pomaszerowaliśmy znów samymi lasami i bezdrożami, dążąc na wschód, i nad samym wieczorem stanęliśmy na skraju, w niskich i zwartych krzakach dębiny pod kolonją Annopol, pomiędzy miasteczkami Ciepelowem a Lipskiem położoną.

Ztąd, stosownie do rozkazu Czachowskiego, wyprawiłem wezwanie do wszystkich okolicznych obywateli ziemskich, aby w dniu 15 maja, o 10 rano, w Ciepelowie się zjawili.

Pożywni, ugotowanym dla nas tu krupnikiem z wołowem mięsem, zaszywszy się znów w krzaki dębiny, obstawieni silnie wedetami i czatami, oraz podjazdami - noc tę spokojnie w nich przeżyliśmy, jednak bez najmniejszych ognisk.

## ROZDZIAŁ XII

### DZIEŃ 15 MAJA OGŁOSZENIE RZĄDU NARODOWEGO

Ze wschodem słońca, z lasu pod Annopolem, uporządkowawszy około siebie, o ile to było możebne u nas, ruszyliśmy w kierunku północno zachodnim. Była to niedziela, słońce świeciło jasno. Zboża i łąki bujnie porośłe, radowały przyszłym plonem duszę rolników.

Po wczorajszym deszczu, odświeżony krajobraz, przedstawiał się dla każdego, jakby uroczystą szatę na dzień dzisiejszy przywdział a pszczoły, trzmile i owady brzęcząc, akompanjowały niby ptactwu, w ogólnym hymnie przyrody na cześć Wszehmocnego Pana. Raźnie też, z uroczystym a pełnym wesela nastrojem, z śpiewami patrijotycznymi, z pewnością i otuchą w lepszą przyszłość oraz fantazją dobrą - polami samymi maszerowaliśmy.

Po wybuchu powstania, zarysowały się silniej, choć niby potajemne we wszystkich dzielnicach polski komitety, które powszechnie głosiły wśród mieszkańców odnośnych dzielnic i prowincji: że jedyny cel ich istnienia stanowią niby dążności, do wydobycia się z wiekowej niewoli, najgroźniejszych i najokrutniejszych naszych wrogów, t. j. Moskali.

Z tych, te co się wytworzyły w granicach zaboru moskiewskiego, istotnie czynami swemi udowodniały, że do tego celu rzeczywiście dążyły, i dla tego w zarządzeniach swych oglądały się zawsze na serce Polski, Warszawę, tę prawdziwie świętą arenę męczenników i męczennic za sprawę naszej Ojczyzny. Tymczasem po za granicami zaboru moskiewskiego, znalazł się jeden, i udowodnił potem jawnymi swemi czynami: że nie tylko nie czuł, ale nawet nie pojmował ciężkiej doli i hańby niewoli narodu.

Otóż komitet ten, nie dosyć, że marnował grosz krwawy narodu, i najniezbędniejszych potrzeb, które się zaspakajać podjął, nie tylko nie chciał, ale wprost przeciwnie działał. My, bijący się w polu, w stosunkach z nim, już w onczas doświadczyliśmy niejednokrotnie jego zbrodniczo-nikczemnych podstępów i zdrad oraz kłamstw, które krwią najszlachetniejszą świętych ofiar hojnie opłacał. Nie mówię, aby wówczas nie było patrijotów w Galicji; mieliśmy ich sporo w oddziałach a i wśród cywilnych było dosyć ofiarnych niewiast i mężczyzn, którzy z prawdziwym poświęceniem powstaniu służyli. Lecz występują tu przeciwko owej «głośniej» opinii publicznej, co to z kainowskim kręctwem obełgiwała przez usta «Czasów<sup>92</sup>» i nawet «Gazet Narodowych<sup>93</sup>» ogół po nocy styczniowej, 22go: że to żadne powstanie narodowe, ale tylko popisowi uciekają a sami Moskale strzelają; i dopiero do niego się przyznało, gdy Langiewicz już siedział w więzieniu Krakowskim. Stefan Bobrowski<sup>94</sup>, przypłaciwszy życiem, z rąk mordercy nasadzonego przez łotrów Kainów, kierowników tej «głośniej» opinii - niedopuscił był do podłego zaniechania nadal powstania, nad czym za ruble moskiewskie pracowali ci zgnilce sobki: w herby, mitry i birety uczonych

<sup>92</sup> „Czas” był organem konserwatystów krakowskich.

<sup>93</sup> Ukazująca się we Łwowie „Gazeta Narodowa” była zbliżona do kół demokratycznych.

<sup>94</sup> Stefan Bobrowski należał do najłodszych (ur. 1841) i najbardziej radykalnych działaczy powstańczych. Po klęsce Langiewicza doprowadził do podporządkowania się Białych Rządowi Narodowemu. Zginął w pojedynku w kwietniu 1863 roku.

polskich przystrojeni. Ówczesny safandulski patryjotyzm Galicji nie umiał sobie dać rady z tem podłym machjowelstwem zamaskowanej zdrady, co rzeczywiście szła śladami: Gontów, Szczęsnych Potockich, Szelów, Wielopolskich, i jak upiór ssała ciepłą krew narodu, walczącego o najświętsze swe prawa - owszem - w zdzielinieniu niedołącznym, podobnym do przedzoborowego, oddało w jej ręce ster sprawy powstania na gruncie tutejszym. Ci to właśnie, widząc, że koncept ośmio-dniowej dyktatury nie zdołał zabić powstania. przeciwnie, wzrost jego stawał się coraz potężniejszym, gdyż teraz powstała cała Litwa i Ruś - chwycili się nowego fortelu, przez popchnięcie u nas t. z. «białych», w rzeczywistości niedołączów lub brudnych utylitarystów, aby ponownie uchwycili w swe bezsilne dłonie ster sprawy narodowej w Warszawie, przeobrażając Komitet Centralny na Rząd Narodowy. Na dniu więc 10 maja, został ogłoszony ten Rząd Narodowy a my, nieświadomi tych wszystkich zakulisowych intryg, szliśmy go ogłaszać do Ciepiewowa uroczystie.

Około godziny 8 rano, weszliśmy do Ciepiewowa ze śpiewem patryjotycznym, z rozpuszczonym sztandarem postrzelanym, przy biciu we wszystkie dzwony kościoła parafjalnego, położonego na zewnątrz miasteczka. .

Stanęliśmy w szeregach na około świątyni i spoczęliśmy w miejscu, złożony w koźły, obecnie już samą bagnetową broń naszą. Na przyległym polu roznieciliśmy niewielki ogień, i przy nim gotowano dla oddziału obiad, bo miejscina ta, była ubogą i w połowie przez żydów zamieszkałą. Wyjątkowo tą razą postanowiono dla oficerów i mających się zjechać obywateli, ugotować osobny obiad na plebanji. A że proboszcz tutejszy, chciał zawsze uchodzić za wielce biednego, przeto na koszt oddziału kupiono nieco mięsa na rosół i z jakie kilkanaście funtów cielęciny na pieczeń.

Około 10 rano, zjechało się okoliczne ziemianstwo. Lud też napływał, ale daleko skwapliwiej.

Gdy się zresztą kościół wypełnił parafjanami, i z bliższych wiosek, które ujrzwały nasz marsz i pędziły śladem naszym, oraz część naszego oddziału weszła do niego wewnątrz pod bronią-rozпочęła się pontyfikalnie celebrowana msza.

Przy skończeniu mszy, kapelan nasz, wszedł na ambonę i wygłosił patryjotycznie religijne kazanie. W końcu mowy przedstawił konieczność ustanowienia dla dobra świętej naszej sprawy Rządu Narodowego, i ogłosił takowego zaprowadzenie, zamiast dotychczas rządzącego Komitetu Centralnego.

Następnie uroczystie podniosłszy rękę prawą, ze złożonymi do przysięgi palcami, odczytał głosem doniosłym odpowiednią, a wielce wstrząsającą duszę przysięgę.

Obywatelstwo, choć pot spływał kroplami z czoła ze zbytniego gorąca, bo upał był niesłychany a mały kościół przepełniony, całkiem jednak jakoś oziębłe przysięgało, i to półgłosem. Za to włościanie, a wyraźniej jeszcze od nich i z większym się przejęciem, mieszczanie - każde słowo kapłana powtórzyli głośno. O nas nie potrzebuję dodawać, że dobitnie, z uroczystym nastrojem a powagą, z całym przejęciem się ważnością i uroczystością tego aktu, z zapalem i szczerością, bijącą z każdego oczu, czoła, twarzy i postawy - wykonywaliśmy powyższą przysięgę, którą jednocześnie i stojący na cmentarzu koledzy powtarzali.

Po przysiędze, wycofaliśmy się z kościoła na cmentarz.

Celebrant zaintonował «Te Deum». W dzwony wszystkie bito, a my wtórowaliśmy trzykrotną salwą wszystkiej naszej broni.

Gdy po skończonym nabożeństwie, ludność wysypała się z kościoła - dziękowała

też nam ze łzami w oczach, ręce ściskając, za wyrządzenie jej czci aktem powyższym. Oddział zasiadł zaraz do obiadu a my w tymże zamiarze poszliśmy do plebanji, gdzie już nie czekając na nas, nitkórzy szlachcice jeść zaczęli.

Gdy to ujrzał Czachowski, spochmurniał, i mrugnawszy na adjutanta Gromejkę, zrobił znak, abyśmy wymknęli się nieznacznie do sieni. Adjutant w lot z przed plebanji pocwałował.

Niezdolali jeszcze jedzący do połowy wypróżnić swych talerzy z zupy, gdy naraz padł strzał, od strony Lipska. a następnie z dwóch jeszcze innych stron.

Na zasłyszany pierwszy, Czachowski, grmiącym swym głosem krzyknął:

- Adjutant, sprawdzić natychmiast, co znaczy ten strzał?

Obywatele przerażeni, pozrywali się ze swych krzesłek, a my niby zaczęliśmy chwycić za stojącą przy ścianach naszą broń, i wybiegać do oddziałów.

Gdy Gromejko przypadł z powrotem na spienionym koniu, i zaraportował: że Moskale ciągną na nas z trzech stron a kolumny ich już widać - powstało wtedy wśród cywilnych niesłychane zamieszanie, wykrzykniki przerażenia, otwieranie okien wychodzących na dziedziniec i nawoływania do czemprędszego zaprzęgnięcia. Rwetesu i uciekania nie mogli powstrzymać szyderstwa Czachowskiego.

- Tacyż to wy Polacy? - mówił naczelnik - dopiero co przysięgliście walczyć do ostatniej kropli krwi za ojczyznę, a teraz gdy przychodzi nam zmierzyć się z wrogiem, to nas opuszczacie i haniebnie uciekacie i t. d. - Ale to nic nie pomogło, wymknęli się wszyscy piorunem traktem do Zwolenia.

Po zemknięciu ziemianstwa, powróciliśmy natychmiast, i żartując z «cywilnej odwagi» potomków dawnego naszego, tak walecznego niegdyś rycerstwa, z czystym sumieniem spożywaliśmy pozostałą resztę obiadu, którego nie używszy rzeczono go fortelu, byliśmy w dniu owym nie kosztowali nawet.

Po obiedzie przystąpiliśmy natychmiast do przeprowadzenia poboru z Ciepeliowa do wojska, obecnie Narodowego. Z miasta tego 16 młodzieży, samych prawie Langiewiczowskich i nieco z innych oddziałów, do szeregów naszych wcielono. Po dokonaniu tego, o godzinie 3 popołudniu, w kierunku Zwolenia pomaszerowaliśmy.

O małe ćwierć mili za miasteczkiem, wysunęło się z lasów na pole, na północny zachód, kilkunastu dragonów, lecz ci pospiesznie cofnąwszy się, w tychże z powrotem znikli.

Wieczorem tegoż dnia, wkroczyliśmy do opróżnionego znów przez nieprzyjaciela Zwolenia, i w nim zanocowaliśmy, obstawiliśmy się silnie wedetami i czatami. Byliśmy bowiem pewni, że gdy dnia dzisiejszego ogłoszeniem Rządu Narodowego, odpowiadzieliśmy: jako z amnestji carskiej, nietylko korzystać nie myślimy, lecz ją z pogardą od siebie odrzucamy to zaraz będziemy mieli «dziegciarzy» na karku, do zmuszenia przyjęcia ich dobrodziejstw niedźwiedzich. Woleliśmy przeto być więcej czynni, niż czuli na te zapędy czułości słowiańskiej.

## ROZDZIAŁ XIII

### CZAS OD 16 DO 28 MAJA

Po dokonanych i w Zwoleniu poborze, 35 młodzieży, prawie z tej samej, co w Ciepeliowie kategorii, dnia 16 maja, około 7 rano, wyruszyliśmy w kierunku północno zachodnim, i w lasach ku Czarnej znikliśmy. Zaledwie jednak upłynęło dobre pół godziny marszu lasami, gdy ozwały się już w lewo nas, od strony traktu bitego z Radomia do Zwolenia, silne salwy karabinowe. Pochodziły one od kolumny, wyprawionej przez Uszakowa z Radomia, po otrzymaniu wiadomości o martwych powstaniu naszego oddziału - biegnącej na odsiecz Zwolenia, a niewiedzącej, że załoga jego zwyczajem swoim po raz trzeci, na samą wieść naszego marszu, zbiegła już poprzednio do Puław.

Gdy kozacy jej awangardy, powzięli wiadomość, że w Zwoleniu nie tylko ich załogi, ale i nas już nie ma; otóż chcąc fortelem ślad nasz odkryć, zaczęli na wiatr dawać salwy, sądząc, że pospieszymy zwyczajem naszym na pomoc atakowanemu koledze. My jednak dobrze wiedzieliśmy, że tam nikogo z naszych nie było.

Po pewnym czasie, gdy strzały powyższe nie ustawały, zwróciliśmy na bezdroża, w lewo, i idąc równolegle do traktu w kierunku zachodnim, przeszedłszy dobrą mil poszliśmy znowu w lewo, na południe, i przekroczyliśmy rzeczony trakt, jeszcze wśród lasów. Wyszliśmy na południowy skraj borów, ku zachodnio południowej stronie, skośnie do powyższego kierunku, dalej maszerowaliśmy polami.

Horyzont zakrył się chmurami, i wiatr chłodny zaczął przeciągać. Około 2 po poł., zaczął się zjawiać po naszej lewej stronie podjazd kozacki i dragoński, a czepiając się przeszło pół mili naszego pochodu i zasłaniając się od nas: to budynkami wiosek, to pojedynczymi drzewami lub krzakami i terenem, hukali do nas salwami strzałów, które wcale nas nie dochodziły lub nie szkodziły.

To też maszerowaliśmy dalej milcząc, i udając jakobyśmy ich wcale nie widzieli a strzałów ich nie słyszeli. Tylko jeden kapitan Wujko wyskakiwał z szeregu ku nim, ze sławnym swym rewolwerem i grożąc nim, wymyślał na czem świat stoi. Śmiało się chórem z tego jego zapału i rycerskości w gębie. Po za Skaryszewem, rachując od Radomia, maszerując wciąż samem i polami w wyżej rzeczonym kierunku, i przechodząc w bród wszelkie rzeki, przeszliśmy około 5 po południu trakt bity z Radomia do Iłży, a zwrociwszy się ostatecznie w lewo - szliśmy dalej, również polami na południe, mając po prawej stronie lasy, a z lewej, różne wioski i miasto Iłżę. W pobliżu Jasiońca Iłżeckiego weszliśmy ciemnym wieczorem do puszczy Iłżeckiej, i dawny swój obóz, pod Lipiem, zajmawszy, przy ogniskach przenocowaliśmy.

Dzień 17 maja upłynął nam, na zwiedzaniu w marszach dawnych naszych obozowisk, w zachodniej stronie borów, od traktu z Iłży do Ostrowca położonych i na reorganizacji wzrastającego znów w siły oddziału naszego. Na noc stanęliśmy w zupełnie nowym miejscu, pomiędzy dawnym obozowiskiem, nad Starachowicami i Brodami, i tu przenocowaliśmy; lecz już bez ognisk, i do tego głodni. 18 maja dopełnialiśmy poprzedniego dnia czynność, tylko z różnicą, że tą razą przetrząsaliśmy wschodnią stronę

puszczy od traktu; na noc zaś, stanęliśmy pod Maziarzami, i tam przenocowaliśmy również bez ognisk, zjadłszy zaledwo chleba z wódką. A w dniu 19 maja, rano, pomaszerowaliśmy do miasteczka Iłży.

Tu, zwiedziwszy pole bitwy, stoczonej w r. 1831, pożywiwszy się i odpocząwszy - po południu wyruszyliśmy na północny zachód, i wieczorem przybyliśmy do wsi Kowali, o półtorej mili tylko od Radomia, niedaleko drogi bitej do Szydłowca, i po za tąż, obok parafjalnego kościoła, obozem stanęliśmy i przenocowaliśmy.

Dnia 20 maja z powyższego noclegu pomaszerowaliśmy na zachód, do traktu, a zrobiwszy zwrot w lewo, pociągnęliśmy nim na południe, ku Szydłowcowi. Doszedłszy pół Guzowskich<sup>95</sup>, sławnych bitwą Zygmunta III z rokoszanami, przeszliśmy przez plac bitwy powyższej, zrobiwszy zwrot w prawo z traktu na takowe, i podążyliśmy na zachód. Po upływie pewnego czasu, zrobiliśmy zwrot znowu w prawo, i pomaszerowaliśmy teraz na północ; a przeszedłszy po wschodniej stronie miasteczka Wolanowa, dotarliśmy do traktu z Radomia do Przytyka, i pomiędzy wsią Cerekwią, zaledwie o milę na zachód od stolicy województwa leżącą, na takowy wszedłszy, zwróciliśmy się nim znów w lewo, i na zachód ku temuz pomaszerowaliśmy.

Tym sposobem, od 16 maja, ukazywaliśmy się ciągle na widoku Radomia, obchodząc go z trzech stron t. j. wschodniej, południowej i zachodniej, w punktach zaledwie o 1 ½ mili, i bliżej jeszcze od niego oddalonych; ukazując się w obec jego silnej, nieprzyjacielskiej załogi, a tern samem zadając kłam raportom moskiewskim, o zniszczeniu oddziału naszego pod Rzeczniewem\*. Bitwa ta, stosunkowo zadała Moskalom o wiele większe straty, a w nas spotęgowała ufność we własne siły. Nowo wstępujący do oddziału, oddali się nam z zupełną ufnością, i z prawdziwą czcią a dumą na nas spoglądali.

Powyższym marszem budziliśmy na nowo fałszywe wyobrazenie o liczbie naszej u Moskali.

Nikomu by bowiem byli nie uwierzyli, ze w tak szczupłej liczbie a do tego z tak słabym zapasem amunicji, jaki rzeczywiście posiadamy, tak ich śmiało wyzywamy. My zaś korzystaliśmy z tego, aby w marszach po wsiach i miasteczkach lepiej się zreorganizować i podtrzymać ducha w okolicznych mieszkańcach. Uszakow, w skutek powyższych śmiałych marszów, zaczął niedowierzać własnej załodze.

Przybywszy do Przytyka, podczas odpoczynku, obejrzelśmy plac bitwy, w r. 1831 tu stoczonej; a pożywiwszy się dobrze, pomaszerowaliśmy traktem na zachód, i do Potworowa późnym wieczorem weszliśmy. Odpocząwszy tu w nocy kilka godzin, wyszliśmy zaraz po pół nocy; a już dnia 21 maja, maszerując na południo-wschód, następnie, na południe zwróciliśmy - i przechodząc w bok miasteczka Skrzynna, i wielu wsi jak na przykład główniejsze: Wieniawy, Żukowa, Nińkowa, Radestowa, po pod samemi Borkowicami, na wschód obok pałacu i ogrodu angielskiego - weszliśmy w lasy i góry, tegoż nazwiska, i w nich znikliśmy.

Tu dopiero zwróciliśmy się w lewo, i dążąc na wschód, zajęliśmy podczas deszczu, na noc, zakład fabryk żelaznych Aleksandrów, w lasach Chlewiskich, na trakcie bitym z Szydłowca do Końskich.

---

<sup>95</sup> 7 lipca 1607 roku wojska rokoszan poniosły klęskę w bitwie z wojskami Zygmunta III.

\*Pierwsze nasze ukazanie się pod Radomiem było na wielkanoc, w niedzielę, ale nie w sobotę jak to błędnie w druku wyszło.

W czasach, gdy pierwszy raz, to jest od 18 do 20 kwietnia, oddział nasz stał obozem w tych stronach, pod Piekłem, w okolicznym pasie leśnym formował się, z pozostałych resztek po oddziałach, w powiecie Opoczyńskim, nowy oddział, wyłącznie z samej kawalerji, pod dowództwem (Bończy) Tomaszewskiego<sup>96</sup>, byłego oficera moskiewskiego. Gdy rzeczony dowódzca złożył raport Czachowskiemu jako naczelnikowi wojennemu województwa, że formowanie swe ukończył, i liczy już 200 koni, otrzymał teraz rozkaz: aby z kawalerją swą udawszy się pasem leśnym ku Przedborzowi, Małogoszczy, Włoszczowie, Seceminowi - przerzucił się w województwo Krakowskie, i w pasie polnym tegoż, równoległe do nas, manewrował, ku czemu otrzymywać będzie odpowiednie wskazówki; w Krakowskim bowiem, od chwili przekroczenia Langiewicza do Galicji, tylko jeden oddział polski, pod dowództwem Cieszkowskiego, istniał, i prawie wyłącznie w pasie leśnym, w północnych okolicach powiatu Olkuskiego i południowo-zachodnich Kieleckiego i niekiedy południowych Wieluńskiego, operował. Rozkaz powyższy był wydany: 1. aby utrudnić Moskałom wysyłanie z załóg tego województwa większych sił, w pomoc załogom ich w województwie Sandomierskim; 2. oraz umożliwić nam sprowadzanie z zagranicy amunicji a jeżeli będzie moina, to i belgijskiej broni.

Dnia 22 maja, rano, wymaszerowaliśmy z Aleksandrowa traktem bitym ku Chlewiskom a niedochodząc do nich, w lewo, ku jakimś kilku chałupom zwróciliśmy się, gdzie kawalerja przychytała kowala, szpiega udowodnionego, którego atoli w miejsce powieszenia, ukarano sporą liczbą batów, co go niezawodnie oduczyc musiało od zbrodniczej chciwości grosza wroga, zarabianego judaszowstwem.

Wróciliśmy ztąd ku traktowi, i przez Chlewiska jako w dzień niedzielny, z rozwiniętym sztandarem oraz śpiewem patriotycznym, na wschód, ku Szydłowcowi, tymże podążyliśmy. Nie dochodząc do Szydłowca, choć z niego załoga nieprzyjacielska ku Radomiowi na wieść samą naszego marszu umknęła, na widoku obeszliliśmy go do traktu bitego do Kielc, i w okolicy Smolarni, z której wyszła pierwsza zdrada w tych stronach w chwili rozpoczynania powstania, przeciw oddziałowi Langiewicza, chcieliśmy zdrajcę złapać. Ale wyprawiona przodem nasza kawalerja, nikogo tam nie zastała. Idąc dalej, gdyśmy doszli drogi od Skarzyńska<sup>97</sup> Kościelnego, zeszliliśmy z traktu, i takową na wschód, przez wieś Smolarni pomaszerowaliśmy do Skarzyńska Kościelnego. Przeszedłszy i tż wieś, lasami, przez Pogorzałe, doszliśmy do wierzchołka gór Majdowskich, i na dawnym stanowisku, z 17 kwietnia, na smugu, stanęliśmy obozem, ale bez ognisk.

Gdyśmy odpoczywali, na raz, ni ztąd ni z owąd zwrócił się ku mnie Czachowski, wobec leżących obok niego kilku oficerów, i wprost zapytał mię: czy to prawda i czy wiem co o tem, że większość szeregowców chce oddzielić się od niego, a ze mną osobny oddział utworzyć?

---

<sup>96</sup> Bogdan Bończa posługujący się pseudonimami Konrada Błaszczyńskiego i Kazimierza Tomaszewskiego początkowo został odpowiedzialny za wybuch i przebieg powstania w województwie płockim. Później walczył pod Langiewiczem, a po bitwie pod Grochowiskami wraz z Czachowskim udał się w lasy świętokrzyskie, Stąd zaś w lasy opoczyńskie, gdzie sformował oddział kawalerji. Zginął w bitwie pod Górąmi niedaleko Pińczowa (18 czerwca 1863 roku).

<sup>97</sup> Poprawnie – Skarżyska.



Oburzony jakąś nikczemną intrygą, bo mi nic podobnego w myśli nawet nie powstało, odpowiedziałem na to stanowczo, że to wszystko fałsz. Ale gdy już przyszło do otwartej między nami rozmowy, to mu ośmieliłem się podać mój plan. Zaproponowałem, aby wybrał z oddziału 120 strzelców, którzy za mną pójdą zechcą, a ja ich miałem rozrzucić po wsiach, pomiędzy ludem okolicznym, i utworzyć z nich kadry oraz instruktorów do prawdziwej wojny ludowej, opartej o jego oddział. Wtedyby żadne poczty i transporta, żaden kurjer czy podjazd nieprzyjacielski, nie przeszedłby bez naszej wiedzy. Postarałbym się zawijać i w miastach podobne organizacje zbrojne. Środków pieniężnych, koniecznych do przeprowadzenia powyższego zdania, dostarczyłby mi nieprzyjaciel ze swych kas, oraz udowodnieni stronnicy jego. Podatków osobistych, na cel powyższy, obowiązuje się od ludności tych stron nie wymagać; wszelki zaś zdobywany na wrogu gotowy pieniąż w ręce organizacji narodowej składać, i na sprowadzanie amunicji i broni, niemniej ciągle zwiększanie siły powstańczej obracać.

Zsolidaryzowawszy lud wiejski i miejski ze sprawą powstania, czego byłem pewny, że dopnę tego - za 120 danych mi strzelców, w przeciągu miesiąca, oddam do frontu: uzbrojonych, wyćwiczonych i w strój wieśniaczy umundurowanych, najmniej 200 ludzi, oraz wpływać będę na zwiększenie sił głównych, i zawczasu powiadamiać o nieprzyjacielu. W przeciągu paru miesięcy, działając w przedstawiony sposób, miałem oddział mój powiększyć do 600 ludzi, uzbrojonych i wyćwiczonych należycie.

Gdym skończył, stary wódz, podał mi rękę i wyrzekł:

- Z krzyżujących się wciąż różnych zarządzeń jakie z góry otrzymujemy, wymagających przedewszystkiem legalnego działania, dla uzyskania przyobiecanego nam poparcia innych państw - jestem pewny, że dziś twój plan byłby uznanym za radykalny przez skład obecny naszego Rządu Narodowego; zatem wypada z użyciem jego, jeszcze się wstrzymać, aż dzisiejsze prądy znów się zużyją i miną.

Niepojętą i niezrozumiałą była i jest dla mnie ta, zkądinąd u najpatryotyczniejszych nawet Polaków, epidemiczna choroba w czasie walk o niepodległość, zwana «legalnością». Ludzie, którzy przyjęli powstanie jako fakt dokonany, prowadzili lub popierali je dali, a jednocześnie prawiący o legalności: wydają mi się, jakby dopiero co wyszli niewyleczeni z zakładu obłąkanych. Wszakże sam wyraz- powstanie, wskazuje jego nielegalność w obec rządu, przeciw któremu jest skierowane? Siła, radykalnymi środkami zdobyta, ta jedna zniewala Rządy, do uznania go jako strony wojującej a zatem niejako legalnej, i daje mu dopiero możliwość, spotęgowania się jeszcze przy ich pomocy. Po uzyskaniu czego, a przy rozwinięciu jej do wszelkich możliwych granic, zniewala dopiero rząd, przeciw któremu wybuchło, do usiępstw, i to tak daleko idących, o ile żywotności i siły takowe okazało czyli wywalczyć na nim zdołało.

Nasi zaś, z tytułu tylko urodzenia swego, przywłaszczający sobie zawsze prawo do wielkiej polityki i jej kierownictwa swymi niednłężnymi a nieumiejętnymi rękami, zaślepieni i w głupocie swej, jeżeli już nie z góry zdrających planach, - nie dając się rozwinać powstaniu, przez użycie, choćby nie krwawych, lecz radykalnych środków, - sprawiali zawsze, iż ono tylko wegietowało, posiadając w gruncie wszelkie warunki zwycięstwa. Ci zniedołężnieli arystokraci czy tam głupcy doktrynerzy, jakby nie znali tej fundamentalnej podstawy naszego wieku: że każdy samemu sobie winien dopomódz, i dla tego odrzucali radykalizm ludowy.

Jeszcze raz, w późnej jesieni, plan powyższy z odpowiedniami, do ówczesnego już położenia kraju zmianami, do przyprowadzenia przedkładano ; lecz choroba legalności,

znowuż go usunęła, aby dopomódz wrogom do stłumienia ruchu narodowego.

O wschodzie słońca, 23 maja, wyruszyliśmy z rzeczzonego smugu, i spuściwszy się z wierzchołka gór na pola, obok wsi Ubyszowa, na trakt bity z Szydłowca do Kielc, w okolicy wsi Bzina, podążyliśmy na południe, ku Suchedniowu, przez Występę. Na wierzchołku odrośli gór Blizińskich, przecinając trakt powyższy, ohejrzawszy plac bitwy strzelców naszych z dragonami w d. 3 lutego, nie dochodząc do wspomnianej osady - zwróciliśmy w prawo, na zachód, i znikliśmy w lasach dążąc do Samsonowa.

Zapuściwszy się w lasy, zwróciliśmy się znów w prawo, i zrobiliśmy zupełny do poprzednich kontrmarsz, idąc obecnie z wierzchołka gór Blizińskich na północ, od płynącej u ich stóp rzeki Kamiennej. Gdy dosięgliśmy rzeczzonej rzeki, i takową po pod pierwszą fryszerką żelazną, na zachód od Występy leżącą, po mościeprzebyliśmy, i do traktu z Bzina do Końskich wiodącego doszliśmy, to wszedłszy na powyższy trakt, zwróciliśmy się teraz w lewo, i na zachód się udaliśmy, do Bliżyna, gdzie obok opuszczonych murów, niegdyś budowanego a nieukończonego kościoła, obozem stanęliśmy, ugotowali i spożyli obiad. Zaś około godziny 3, po południu, pomaszerowaliśmy dalej na zachód traktem a przeszedłszy wieś Mroczków, skręciliśmy na północny wschód, i obszedłszy hutę żelazną Mroczków, poszliśmy na północ, w lasy, niby do wczorajszego naszego obozu, niedaleko ztąd już leżącego; a rzeczywiście do wsi Aleksandrowa, obok huty żelaznej tegoż nazwiska leżącej, i tu zanocowaliśmy.

W dniu 24 maja, do dnia, wyruszywszy z rzeczzonej wyżej wsi, poszliśmy traktem na północ, ku Chlewiskom, a niedochodząc ich, zwróciliśmy w same lasy; skręciliśmy temi z traktu w lewo, i wykonując samemi bezdrożami kontrmarsz, w kierunku południowo zachodnim, przeszedłszy mil kilka, wyszliśmy około południa pod wieś i zakład huty żelaznej, Furmanów, na zachód, o dobre pół mili, od wsi Niekłania. Odpocząwszy tu, przez chwilę i pożywi wszy się zaledwo chlebem i wódką, podążyliśmy dalej lasami Niekłańskimi, a następnie Koneckimi na południe, z których wyszliśmy, pod wieś Piłę, na wschód od miasta Końskich. Ztąd pomaszerowaliśmy na zachód od Końskich. Lecz przeszedłszy tylko obszar pałacu Małachowskich, na północno wschodnim końcu miasta tego, i otarłszy się niejako o samo miasto, bo ulicą jego idącą ku Małachowu, za pałacem wyszliśmy na południe. Zbliżywszy się tu do lasów, po pod temiż zwróciliśmy w prawo a doszedłszy traktu z Końskich do Kielc, zwróciliśmy się znów polami w prawo, i poszliśmy na północ. Gdy doszliśmy do traktu, z Końskich do wsi i klasztoru XX. Bernardynów w Kazanowie, okrążyliśmy miasto z trzech stron, wschodniej południowej i zachodniej, dotykając się różnych magazynów rządowych, na zewnątrz jego leżących. Załoga tegoż, zamknąwszy się w kilku murowanych dużych gmachach, nie śmiała nosa wytknąć po za miasto. Moskwa straże magazynów do siebie pościągła, zostawiając je nam niejako na pastwę; nie tknąwszy jednak takowych, widocznie wskutek nakazów rządu «białego», pomaszerowaliśmy traktem, przez Kazanów ku Rudzie Malenieckiej, a uszedłszy nim przeszło mil dwie, późnym wieczorem, skręciliśmy na prawo, w zwarte sosnowe lasy, i w nich przenocowaliśmy bez ognisk.

Dnia 25 maja, do dnia, wróciliśmy na trakt, i idąc nim dalej, w poprzednim południowo zachodnim od Końskich kierunku, przybyliśmy do Rudy Malenieckiej, gdzie zjedliśmy śniadanie. Ztąd pomaszerowaliśmy traktem ku Tarkowu, na zachód. Niedochodząc rzeczzonej wsi, zwróciliśmy w prawo, i podążyliśmy na północ borami około Machór i Klewa, a zwróciwszy jeszcze w prawo, na wschód, wyszliśmy do wsi

Maleńca. Z niej maszerując dalej na wschód, przybyliśmy znów w lasy po obydwóch bokach traktu z Końskich do Rudy Malenieckiej rozciągające się, i w takowych znów przenocowali. W dniu zaś 26 maja, pomaszerowaliśmy z lasów tych na północny zachód; a pomiędzy wsią Bedlno, a Końskimi, przeszedłszy polami, następnie około Sędowa i Jeżowa lasami, wyszliśmy do huty żelaznej Ruda, do dóbr Białaczewskich należącej; obok niej przeszliśmy rzekę Orzewiczkę, i kierując się teraz samymi polami, na północ, pomiędzy wsią Korytkowem a miasteczkiem Gowarczowem, gdyśmy doszli do lasów na północ od tych rozciągających się, - skręciliśmy też na północny wschód, i na wierzchołku gór Boskowickich, na zachód już od Furmanowa, bez ognisk przenocowaliśmy. Zaś 27 maja, pomaszerowaliśmy grzbietami na zachód.

W marszu powyższym spotkaliśmy się z Wiśniewskim<sup>98</sup>, dowódcą konnej żandarmerji powiatu Opoczyńskiego, byłym burmistrzem miasteczka Jastrzębia, wziętym do niewoli znacznie później, i powieszonym w jesieni przez Moskali w Radomiu. - Nieliczna jego żandarmerja, bo zaledwie z 12 ludzi, dzielnie jednak wyglądała i dobrze uzbrojona była; siedziała na rosłych, doborowych koniach, i tylko mundury jej jaskrawe zbyt daleko widoczną ją czyniły.

Około godziny 2, popołudniu, przybyliśmy do huty Przysuskiej, gdzie obiad ugotowaliśmy i zjedliśmy.

Odpucawszy tu kilka godzin, udaliśmy się do kąpieli, dla oczyszczenia się z dokuczających nam owadów; gdyż o zmianie bielizny ani mogło być mowy, bo dotąd nikt nam nowej jeszcze nie dostarczył, każdy z nas dodzierał, co na sobie z domu przyniósł; było zaś pomiędzy nami wielu, co jeszcze 22 stycznia do oddziału wstąpili.

Gdy większość kąpała się w stawie, ja z paroma innymi, tymczasem pod upustem spadowego natrysku używałem.

Ztąd, z dołu, gdy Czachowski nademną do skakania w staw rozebrany stanął, nie dowierając własnym oczom, aż wybiegiem na wierzch - i sprawdziłem z bliska ślady pokąsania od nędzy jaka w jego baranym kożusku zagnieżdziwszy się, ogryzała tego silnie zbudowanego starca, do tego kilkunastu jeszcze czerakami okrytego.

Z prawdziwym uwielbieniem spojrzałem na tego bohaterskiego starca, który dotąd niczem poznać nie dał jak wielkie cierpienia na ciele znosił. Pochłonięty cały myślami wodza, zapomniał o sobie zupełnie.

Ku wieczorowi pomaszerowaliśmy ztąd w bardzo strome a wysokie góry, lasami Przysuskiemi, Korytkowskiemi i Medlińskimi okryte. Tu, około 9 godziny wieczór, spadła straszna nawałnica wraz z gradem, co przemoczyła nas do nitki a przemieniwszy się następnie w zimny, drobny ciągły deszcz, nawet z krupami na wierzchołkach ich - całą noc nam w marszu towarzyszyła; tymczasem na tych wyżynach nie było nigdzie miejsca, aby choć na chwilę się gdzie osłonić i osuszyć można było. Do tego obok naszej drożyny leżało pełno opuszczonych już szybów do wydobywania rudy żelaznej, które trzeba było wymijać ostrożnie. Co chwila też musieliśmy zapalać stoczki a- od tych szczapy, i rozświetlać sobie drogę, aby gdzie nie wpaść w głębokie nadzwyczaj, niecembrowane niczem, górnicze studnie; a tu do tego noc była tak ciemna, że choć oko wykol.

To też z szarzejącym rankiem, dnia 28 maja, gdyśmy na wierzchołku okrytych

---

<sup>98</sup> Kazimierz Wiśniewski zorganizował niewielki oddział w powiecie opoczyńskim tzw. żandarmerii wieszającej. Dostał się do niewoli pod Goździkowem (pow. opoczyński) 30 czerwca 1863 roku, a następnie został powieszony w Radomiu.

śniegiem gór skręcili na zachód a następnie na północ, i wyminąwszy Mechlin, z gór rzeczonych spuściliśmy się pod Goździków, i minąwszy go, około 8 rano przybyliśmy do Rusinowa, a otworzono nam stodołę prawie pełną jeszcze słomy i siana-to przemoczeni i zziębnięci aż do szpiku kości, znużeni nie do opisania, okropnym całonocnym marszem, jak bobaki, kamiennym snem posnęliśmy. Zaledwo około 3, po południu, zjedliśmy obiad ugotowany w kotłach.

Przysłano z pałacu po mnie na obiad, gdyż mieszkali tam bliscy nasi znajomi; ale nie chcąc być żenowanym mym strojem, pozostałem z podkomendnymi a czego wielce po tem żałowałem. Gdy bowiem, około 4 po południu, idąc w awangardzie, w kierunku północnym, zbliżyliśmy się do bramy ogrodu angielskiego, wyjechał z niej Czachowski, a obok niego postępowało pełno obywateli i księży z Opoczyńskiego, wszyscy zaś oni byli moi dawni znajomi i najlepsi przyjaciele. Chwyтали mnie przeto w objęcia i ze łzami wrawdziwej przyjaźni witali.

Opowiadali mi przy tem, że poczciwy Czachowski, wielce pochlebnie o mnie się wyrażał:

- Dajcie mi stu takich jak on - niby miał powiedzieć - a pokażę wam drogę do Petersburga! - i wiele innych komplementów.

Rozśmiałem się w duszy na ten wyskok szlacheckiej fantazji starego wodza, i pożegnałem, przepraszając przyjaciół jako prowadzący awangardę.- Tak to, pomimo że bracze łachmany i plugawy owad, co po nich pełzał, - witali nas wszędzie patrioci, bądź pod słomianą strzechą, bądź po salonach pałaców!

Skręciwszy w dalszym marszu na północno- zachód, ciemnym wieczorem przybyliśmy do Potworowa. Ztąd po parogodzinnym wypoczynku, ruszyliśmy dalej, w tym samym kierunku, wśród ciemnej nocy, na podwodach. - Ja dostałem rozkaz ze swą kompanją stanowić arjergardę, z czego również jak i z wiadomości, że Moskale, z Opoczna i innych załóg na południe za nami leżących, już przeciwko nam wyruszyli, a Radom był tylko o mil 4 od nas na wschód i Białobrzegi również o 4- na północno-wschód - powziąłem mocne przekonanie, że w polach tych na jakie obecnie wystąpiliśmy, do bitwy z wrogiem koniecznie przyjść musi, naczelnik zaś pierwszego ataku wroga spodziewa się od tyłu kolumny.

W skutek ciągłego psucia się uprzęży i wozów, musieliśmy ciągle stawać. To też po pewnym czasie arjergarda odcięła się od reszty kolumny. Ujrawszy to, część kawalerji za mną, zniecierpliwiona tem wiecznem zatrzymywaniem się, pocwałowała naprzód, niby szukać śladu, którądy kolumna dalej pociągnęła. Ja zaś, z ariergardą, oświetlając zapalkami sobie drogę, i szukając na niej świeżego śladu wozów, posuwałem się naprzód ostrożnie, aż do miejsca, gdzie rozchodziły się dwie drogi a na obydwóch były ślady świeże kół. Tu zatrzymać podwozy byłem przymuszony i doczekać co Bóg da, tem więcej że działo się to w nocy, wśród pustych pól. Czekałem tak z dobrą godzinę, zanim kawalerja do mnie wróciła, i dalszą drogę wskazała.

## ROZDZIAŁ XIV

### DZIEŃ 29 MAJA

#### BITWA POD RADZANOWEM, JAKÓBOWE I CHRUŚCIECHOWEM

Szarżało dopiero na niebie, dzień był wilgotno-mglisty. Gdy przybyłem do Radzanowa, zastałem cały oddział siedzący jeszcze na wozach. Zapytałem przeto, dla czego oddział się zatrzymał? - Odpowiedziano mi, że Czachowski wraz ze sztabem udał się do miejscowego proboszcza, który jest stryjem nieznanego mu dotąd naszego szefa sztabu, i że ztamtąd następnie zaproszono na śniadanie wszystkich oficerów a szef prosił, abym tam się również udał. Przykre na mnie to wywarło wraienie, że w chwili, gdy starcie z nieprzyjacielem w bardzo niekorzystnych dla nas warunkach stawało się nieuniknionem, dla zabrania prywatnej znajomości, narażano cały oddział na zniszczenie i życie wielu z podkomendnych. Ożwiadczyłem przeto, że tego nie uczynię, a zziębnięty będąc, wysłałem do wsi po gorące mleko, które na szczęście zaraz dostałem.

Za chwilę zjawił się major Eminowicz, a zacząwszy od wyrzutów, że widać, iż mu dobrze nie życzę, skoro na prośbę jego stryja nie przyszedłem, następnie zaczął mnie przynaglać, do udania się za innymi. - Znowuż stanowczo mu odmówiłem, oświadczając, że dla tego właśnie to czynię; bo wiem, iż śladem naszym idą Moskale, a ja dowodzę arjergardą, podczas gdy wszyscy oficerowie oddalili się od oddziału. Przeciwnie, prosiłem go na wszystko o ostrzeżenie Czachowskiego, aby wizytę tę jak najprędzej skrócił; gdyż przed przejściem traktu z Radomia do Białobrzeg, przez to niepotrzebne zatrzymanie się przyjąć już musi do bitwy, i to nie z jedną już teraz wroga kolumną. A gdyby to nie nastąpiło, i nam bez bitwy trakt powyższy udało się przekroczyć, przed otoczeniem nas przez nieprzyjaciela, oraz zniknąć w lasach Bobrownickich lub Myślenickich-to musiałbym wszystkich oficerów sztabu moskiewskiego mieć za niedołęgów lub osłów, czego jednak dotąd nie można powiedzieć. Dodałem, że prawie połowa oddziału składa się z nowozaciężnych, choć to w innych oddziałach służyli jakoby.

Na powyższe uwagi, szef sztabu, odpowiedział, że za czarno na obecne nasze położenie patrzę; i że zatrzymano się tu, ponieważ dokonamy w tej wsi poboru do wojska, przez co jeszcze zwiększymy naszą siłę. Obrażony też jak zauważyłem, za mój jak go nazwał upór, powrócił na probostwo.

Około godziny 10, rano, dopiero przeszedłszy przez Radzanów, udaliśmy się do niedaleko w kierunku północno wschodnim leżącego małego lasu, i tam obozem stanęliśmy.

W pół godziny może potem, kawalerja nasza dostawiła nam 18 nowo zaciężnych z rzeczonoj wsi, od których odebrawszy przysięgę, wszystkich prawie do kosynjerów wcielono. A ledwo o jedynastej, rano, dostawiono dopiero nieco: chleba, jagieł, wódki i chudą wielce jakąś starą krow. Chleb i wódkę na szczęście zaraz rozdzielono. Bo krowę, zanim zabito, oporzędzono, mięso z niej rozdzielono i kotły nastawiono, o godzinie 1 popołudniu, padły już strzały alarmowe od strony Radzanowa. Nieprzyjaciel bowiem, idący za nami: w siedem rot piechoty wraz z dwoma szwadronami dragonów i tyłuż

sotniami kozaków, gdy doszedł, do powracających z Radzanowa naszech, podwód, którymi w nocy jechaliśmy, zatrzymał je, i sam następnie siadłszy na takowe, nas dogonił. Szczęściem dla nas, że cała jego siła na nich się pomieścić nie mogła, i z temi tylko przystępował obecnie do ataku na nas.

Wylawszy niedogotowany rosół z kotłów na ziemię, a rozebrawszy rozparzone zaledwie mięso do torb i tornistrów, żołnierze głodni musieli stawać do boju.

Czachowski sformował oddział w kolumnę pochodową, rozkazując mnie zasłaniać z arjergardą odwrót.

Teren, na którym bitwa stoczona została, ciągnął się od Radzanowa aż pod wieś Kadłubek, z zachodu na wschód przeszło mil dwie. Był on przeważnie płaski, mocno podmokły, choć małemi wzgórkami okryty, na którym rosły nie wielkie kępy lasków, miejscami od południowej ich strony, na którejśmy właśnie się bili, smugami rudawicznych łąk i klinami pól poprzeryzany.

Na południe mieliśmy wieś Jakubów i Chruściechów, o parę tysięcy kroków oddalone, dlaczego też wielu różne nazwiska bitwie tej nadawali.

Kolumna zaczęła posuwać się na wschód, a ja, rozrzuciwszy kompanję w tyraljery, na jej tyłach postępowałem za nią. Pierwsi, których z nieprzyjaciół ujrzałem za sobą, byli to kilkunastu dragonów; ale parę strażów naszych wystarczyło do spłoszenia ich, i schowania się za drzewami lasu Radzanowskiego.

Gdy kolumna wychodząc z pierwszego lasu przebyła za nim leżący zrąb, i występować zaczęła na drogę, po grobli przez smug leśny do drugiego wiodącą, a ja z łańcuchem doszedłem do tego zrębu, i zastałem na nim dogodnie do zasadzki ustawione stosy drzewa: zatrzymałem łańcuch, i strzelcom po za takowemi ukryć się poleciłem.

Kolumna nasza nie zaczepiona znikła w następnym lasu, a gdy dotąd z nieprzyjaciół nikt więcej się za nami nie ukazywał, obawiałem się, że Moskale chcą mię odciąć od głównych sił. Przeczekawszy więc chwilę, znikąd nie zaczepiany, rozkazałem strzelcom wyjść z ukrycia i rozciągnawszy z powrotem w łańcuch, sięgający przez całą długość smugu aż do jego południowego końca, sam w tymże na linji z nimi ostatni postępowałem dalej, na wschód.

Smug, który łańcuchem przechodziliśmy, im więcej ku południowi się chylił, tem coraz w silniejszą ruda więć przechodził, a to tak grzązką, że ja blisko po kolana, chociaż wówczas dość lekki jeszcze byłem, brnąłem. Starłem się, aby strzelcy, o ile tylko się to da, powoli i równo szli, nie okazując swemi ruchami na jaki grunt tu natrafiliśmy; robiłem bowiem sobie jeszcze nadzieję, że może dragoni zdecydują się nareszcie wyjść z lasu, i rozwiniętym frontem przejść smug zechcą.

Przeszliśmy go nareszcie, zajęliśmy pozycję za rzezonemi wytey drzewami, i czekaliśmy za niemi z dobre pół godziny; tu przypadł do mnie naraz adjutant, i zapytał dla czego i na co tu czekamy?

Odpowiedziałem, że na Moskali, gdyż jest to wyborna pozycja do ich przywitania. Oświadczył mi na to rozkaz Czachowskiego, abym od zasadzki odstąpił i dalej z łańcuchem maszerował.

Przeszliśmy w szyku i drugi las, i tak wyszliśmy na wschodnią stronę jego, w klin pól, zachodzący dość głęboko od tej strony ku północy.

Klin ten obsiany był wyrosłemi już zytami a w nich od południowej strony, na wzgórkach, zastaliśmy dragonów na północ frontem rozwiniętych, i z ogniem naprzód się posuwających.

Wypadliśmy więc z lasu, a szykując się biegiem do frontu, odpowiedzieliśmy im niespodzianie naszymi celnymi strzałami, których kilkanaście zmusiło ich do ucieczki na południe. Rzuciliśmy się biegiem za nimi; w tern z następnego lasu, usłyszeliśmy Czachowskiego, wołającego na nas swym grzmiącym głosem:

- Strzelcy! do mnie. Moskwa wam tyły zachodzi.

Wstrzymaliśmy się w pościgu, za uchodzącymi galopem ku wsi Jakóbowu, i biegiem a chyłkiem, żytami, śpieszyliśmy do naczelnika.

Zaledwie wybiegliśmy z wyrosłych zbóż i dopadliśmy po za pierwszemi drzewami lasku kompanji Brückmana, stanowiącej część bataljonu majora Rogójskiego, za którą znajdowało się ukrytych kilku kosynjerów i kawalerzystów - gdy tuż za nami wysunęła się ze zbóż kolumna moskiewskiej piechoty; ale przywitana ogniem kompanji Brückmana, część jej wstrzymała się, i ustawivszy się frontem do nas o 100 kroków, z piekielnym wrzaskiem: urra! - otworzyła ogień a reszta, nie zatrzymując się wcale, z tyłu jej pomaszzerowała dalej na wschód.

Stosownie do rozkazu Czachowskiego, gdyśmy dopadli prawego skrzydła kompanji Brückmana, po za jej plecami, zaledwie o pięć kroków odstepu maszerowałem ze strzelcami dalej, również na wschód.

Błogosławiłem w duchu wynalazek wizjerów u karabinów. Gdyż niczemu innemu nie mogłem przypisać, że będąc tak blisko Moskali i piekielnego ich rotowego ognia, przez cały czas przemarszu, po za plecyma bijących się z nimi, nietylko że nie ponieśliśmy żadnej straty, ale nawet jednej kuli jego koło naszej głowy i uszu przelatującej nie słyszeliśmy; wszystkie one przeszło kilka łokci wyżej nad nami przelatywały, obcinając gałęzie jodłaków i sośniaków, gęsto w tem miejscu rosnących lub grzęzły w nich.

Po wyminięciu bijących się towarzyszy, maszerowałem ze strzelcami gąszczem leśnym dalej, prosto na wschód, kilkaset kroków, i trafiłem znów na kompanję Rudowskiego, w takiż sam szyk i sposób jak poprzednia usta wioną jako kadry bataljonu Markowskiego, z ukrytą za nią częścią naszej kawalerji, gdyż większość, Czachowski, poprzednio, z rotmistrzem Wielobyckim dokądś odkomenderował, oraz niewielką ilość kosynjerów; albowiem w tę broń niewielce się obecnie już zaopatrywaliśmy, mając zakopanych dosyć karabinów, tymczasem do ich odkopania zastępowaliśmy je u nowozacieżnych, przyniesioną z sobą bronią myśliwską. Nowozacieżni stali obecnie pod osobistą komendą majora Markowskiego i samego naczelnika.

W chwili, gdym doszedł do tej drugiej naszej kompanji, zaczynała i ona skośnie strzelać, do obchodzącej na zewnątrz las reszty kolumny moskiewskiej, która na podwodach przez nas odprawionych zabrać się zdołała, i za nami przybyła. Obecnie, ta część Moskali, starała się swym pośpiesznym marszem i ogniem wstrzymywać nas, dopóki reszta jej, co pieszo szła, oraz i inne ich kolumny nie nadciągną, i nie otoczą, aby zupełnie nas zniszczyć i zabrać do niewoli. Tu Czachowski przyłączył się do mnie; gdyż ani Dolnickiego, ani Eminowicza, nie dostrzegłem wówczas przy nim.

Po wyminięciu bijącej się już i drugiej naszej kompanji, uszliśmy znów, w kierunku wschodnim, gąszczem przeszło 1000 kroków, postępując gęsiego, jeden za drugim.

Szedłem wtenczas blisko w połowie swej kompanji, gdy dostrzegłem, że las na wschodzie zaczynał mocno rzednąć, przemieniając się w rzadkie karłowate sosenki, a pomiędzy niemi przeświecał już horyzont. Pospieszałem biegiem do czoła linji, gdy naraz z okrzykiem - Moskale! - i ono rzuciło się również naprzód biegiem.

Rzeczywiście o jakie 400 kroków tylko od lasu, na południe, ujrzałem dwa szwadrony dragonów, stojące frontem do lasu najspokojniej.

O ile tylko płuca me pozwoliły, a miałem je wówczas jeszcze bardzo silne, nakazywałem, aby żaden strażu nie ważył się dać, dopóki cała kompanja pozycji za drzewami nie zajmie, a wtenczas wszyscy jednocześnie do nich damy ognia.

Dawni żołnierze wstrzymali się w biegu; lecz kilku nowozaciężnych, a w dubeltówki tylko uzbrojonych, nie mogąc opanować szału popisania się swą nienawiścią do wroga, dopadło kraju lasu i do dragonów wystrzeliło. W najwyższym uniesieniu wyrzucałem im, ich nierozważny i niekarny postępek, przedstawiając zarazem całą krzywdę jaką nam wyrządzili; dragoni bowiem poznawszy z ich strzałów, że i ten las przez nas jest już obsadzonym, zrobili natychmiast lewo w tył, i galopem, ku wsi Chruściechowa, o parę tysięcy kroków od brzegu tego lasu oddalonej, popędzili, i nie daleko budynków folwarcznych, frontem do nas znów stanęli.

Mogła być wtenczas już godzina 5, po południu, a horyzont zaciągnął się drobnymi, ale gęstymi dosyć, chmurkami.

Dragonii wraz z swemi końmi, dla mego bystrego wzroku przedstawiali teraz wysokość chruścianego płotu, na horyzoncie sino się zaznaczającego. Jakiś jeździec przed frontem się kręcił; widocznie go porządkował, po czym przed środkiem frontu stanął.

Wściekły i rozżalony, zacząłem rachować odległość; na szczęście zagony znowuż jak pod Boryą, dopomagały mi, do dokładnego obliczenia. Naliczyłem 1600 kr. Zacząłem sobie w duchu rozumować: że jeżeli podniosę wizer odpowiednio do potrzebnej mi doniosłości sztucca a siła wyrzutu prochu do ciężkości kuli, pozostanie zawsze taż sama, to gdybym go postawił prostopadle do lufy, to jest na całe ćwierć koła, gdy zaś 1/8 tegoż daje elewacji jego siłę doniosłości na 1200 kroków - więc wówczas powinna by dać jej na 2400 kroków.

Chociaż wizer sztucca mego pokazywał wszystkiego na 1200 kroków, na los szczęścia, niejako na próbę ustawiłem go na oko na 1600 kroków; zrobiłem ręką potrójny znak krzyż św., wymawiając głośno:

- W Imie Ojca i Syna i Ducha Świętego. Amen. W Imie Boga, w Trójcy Świętej Jedyne! - Tego, co porządkował te szwadrony, a co przed frontem na koniu stanął.

Oparłem sztuciec o sęk karłowatej sosny i strzeliłem. Dym przeszkodził mi widzieć. Usłyszałem radośne wołanie towarzyszy:

- Spadł z konia!

- Ile kroków? - na raz odezwał się Czachowski.

Odwróciłem się, i dopiero dostrzegłem, że o parę zaledwie kroków z konia wszystkiemu się przypatrywał.

Odpowiedziałem, że 1600 kroków z górą, a nabijając znów sztuciec, pokazałem i reszcie jak ustawić elewację. Wystrzeliliśmy po raz drugi.

Pięć koni teraz już po polu galopowało bez jeźdźców.

Mój płot zrobił lewo w tył, i znikł wewnątrz Chruściechowa.

W tej samej prawie chwili, gdy nasze strzały powyższy rezultat osiągnęły, przypadł do nas przerażony i zdyszany podoficer Franciszek Gôtz, który z Łopackim z Tarnowskiego do nas przyszedł, a od pewnego czasu obowiązki intendenta oddziału, właściwie komendą nad naszymi furgonami sprawował. Zaraportował naczelnikowi: że kilku spieszonych dragonów uderzyło na nasze furgony, w głębi lasu ukryte. Że furmani



jego, czterej zwyczajni parobcy wiejscy, uzbrojenia żadnego nie posiadający, i dodani do straży dwaj kosynjerzy, drapnęli w las na widok Moskali; on zaś, obejrzał się za swoją dubeltówką, lecz ta gdzieś z furgonu mu znikła; pewno jakiś strzelec, potrzebując takowej, musiał mu ją wziąć. Chwyta więc kolejno z wozu, co mógł i ciskał na postępującego nań dragona, lecz go chybił. Porwał nareszcie garnczek z surowemi jajami, i zaczął niemi ciskać. Rozdrażniony tern Moskal, wziął go bardzo z bliska na cel; lecz ten trafił go jajem pomiędzy oczy i rozbił na twarzy, a dragon chybił.

Rowścierzony Moskal podszedł, i rzucił się na osłep z bagnetem; ale mając oczy zalane jajem, gdy Gôtz usunął się trochę w bok, nie trafił go; a nie znalazłszy oporu przy silne m pchnięciu, zanadto się nad furgonem z rękami swemi wysunął. Tymczasem, waleczny Gôtz, swym artyleryjskim tasakiem rękę mu na półdrabku obciął, wypuszczony karabin schwycił, i przebił go; po czem zeskoczył z wozu, i sam umknął w las przed nadbiegłymi Moskalami.

Cały powyższy opis zdawał się być niemożliwym, lecz widząc zakrwawiony bagnet u karabina, którego osada była na żółto lakierowana a jakie tylko dragoni posiadali, Gôtz zaś poprzednio go nie miał, musieliśmy temu uwierzyć. - Tak waleczny Moskal, od jaja powstańczego poległ...

Odkomenderowałem przeto zaraz z Götzem część strzelców, dla odebrania dragonom furgonów.

Po upływie pewnego czasu, dano znać, że odpędzeni od furgonów dragoni, powrócili do takowych obecnie wsparci piechotą, my zaś tu staliśmy bezczynnie; udaliśmy się więc tam z resztą strzelców i kilkoma kosynjerami, a gdyśmy wypadli na polanę, na której były umieszczone nasze wozy, Moskale, natychmiast na widok nasz pierzchnęli, uciekając w przeciwną stronę lasu.

Odpędziwszy nieprzyjaciela od furgonów, z polany ujrzałem znów jakiś przesmyk z dalszem jakimś polem się łączący. Rozglądawszy się naokoło, dostrzegłem o paręset zaledwie kroków od skraju lasu, na południowy wschód ciągnący się inny las, a w odstępnie zaledwie o kilkaset kroków od siebie dostrzegłem, i trakt bity z Białobrzeg do Radomia. Na polu jak daleko okiem zajrzeć, nie było nigdzie nieprzyjaciela. W lesie tylko, z którego wyszedłem, rozlegały się silne ciągłe wystrzały karabinowe i okrzyki bojowe, w różnych stronach grzmące, a które echo lasów nieustannie powtarzało potęgując.

Wróciłem do Czachowskiego, i zaproponowałem, że nie mamy czego dłużej tu czekać. Radzę przeto: posłać rozkaz majorom :Markowskiemu i Rogójskiemu, aby w kierunku północno wschodnim pojedynczo się cofali; gdyz i Moskale będą się musieli także za nimi pojedynczo posuwać, a co uniemożliwi skrzydłami swemi ich otoczyć, z obawy przed naszą zasadzką.

Pozbierajmy naszych rannych na furgony, i póki czas przekraczajmy trakt bity; częścią zajmijmy takowy, aby ułatwić cofającym się przejście przez ten do większego lasu, bo za chwilę może już być dla nas za późno; a cofajmy się ku lasom Bobrownickim, jeżeli nie chcemy być wytępionymi co do nogi.

Zgodził się na to Czachowski, i wydał odpowiednie dyspozycje.

Furgony z rannymi wyszły na pole, niezaczeplane przez nikogo; wszyscy pomaszzerowaliśmy ku traktowi bitemu. Gdyśmy byli od niego zaledwie o kilkadziesiąt kroków, ukazał się wyjeżdżający z lasu od Białobrzeg wóz pocztowy, kurjer Kką zwany, z Warszawy przez Radom, Kielce do Krakowa kursujący.

Pospieszyłem więc biegiem ku temuż, i zatrzymałem takowy. Natrafiłem na kilku podróżnych, dobrze mnie znajomych. Powitali mnie też serdecznie i zawiadomili, że się dopiero co wyminęli z kolumną moskiewską, która tutaj maszerowała z Białobrzeg.

Dowiedziawszy się o tem, Czachowski, połowę moich strzelców wysłał zaraz z furgonami i rannymi do Kadłubka, na wschód; mnie zaś, z drugą połową rosypaną w tyraljery i ukrytą po za drzewami, po obydwóch bokach gościica posunąć się na spotkanie Moskali kazał. Zająwszy odpowiednią pozycję, oczekiwaliśmy na nieprzyjaciela.

Zjawilo się też wkrótce czoło zapowiedzianej kolumny moskiewskiej, spokojnie maszerującej ku nam w zwartym szyku. Gdy więc podsunęło się na paraset zaledwo od nas kroków, powitaliśmy Moskali na dany przezemnie znak, skośnie z obydwóch stron drogi, paląc w ściśniętą ich masę salwą.

Przywitani najniespodziewaniej a celnie, Moskale, gdy nadto nie mogli pojąć, co to znaczyć mogło: że na zachodniej stronie drogi, w lasach w paru miejscach, oddzielnie toczył się silny bój. - tymczasem tu, znów w trzecim punkcie, tak silnie na nich, uderzono? - sądzili, że mamy wielkie siły - zachwiali się przeto, i porwawszy swych zabitych oraz rannych, śpiesznie ku Białobrzegom, z powrotem uchodzić poczęli. Gdy coraz dalej traktem się oddalali, ściągnąłem strzelców, i poszedłem przez las na wschód, już położony pod Kadłubkiem; tu połączyłem się z Czachowskim około godziny 9 wieczorem.

Gdyśmy wchodzili do Kadłubka, wtedy dopiero strzały z lasu padać zaczęły; lecz my już byliśmy przeszło pół mili oddaleni.

W stodołach dworskich, w Kadłubku, Czachowski chciał pozostawić naszych rannych, i w tym celu kazał je otworzyć. Ale rządca tej wsi, należącej do A. Wrotnowskiego, mecenasa z Warszawy, chciał temu stawić opór; Czachowski przy znanej swej gwałtowności, o mało że go nie zastrzelił z rewolweru.

Na szczęście, obecni temu gospodarze, patrijotycznej tej włości, zaczęli prosić naczelnika, aby rannych, opiece ich powierzył a oni za całość ich i troskliwe pielęgnowanie ręczą. Poparłem tę prośbę, przedstawiając, że istotnie w rękach ich będą bezpieczniejsi. Wódz nasz ochłonął i zgodził się na oddanie rannych gospodarzom. Poczem pomaszerowaliśmy w ciemności na wschód, a około godziny 11 w nocy, pod hutami szklannemi i wsią Wierzchowiska, połączyliśmy się z oddziałem Markowskiego i Rudowskiego. Ten ostatni, gdyby kwadransiem wcześniej dopadł był pewnego dworu, to zabrałby 40 koni dragońskich, w czasie bitwy tam popoległych i rannych ułokowanych, które kozacy, dopiero co przed nim wpadłszy, z sobą uprowadzili.

W czasie chwilowego odpoczynku, pod wymienionemi hutami, przemówiliśmy się z Rudowskim bardzo ostro; z powodu że tenże, gdy mu się podobał koń powstańca kawalerzysty, Wolskiego, będący jego osobistą własnością, chciał mu go na podstawie swego oficerskiego stopnia pod siebie zabrać, w zamian za licha szkapę, na której jeździł. A gdy Wolski<sup>99</sup> nie chciał na to przystać, płałnął go szablą po głowie, ale ta po ułance się zemknęła, i omal mu całego ucha od głowy nie odwaliła.

Czachowski w tej chwili był we dworze. Gdy mnie przeto dano znać o tem zajściu, pobiegłem gdzie stali kawalerzyści, a widząc krwią zbroczonego Wolskiego, z obwisłem na szyi uchem, zawezwałem Rudowskiego, aby nie zapominał, że nie służy już więcej w

---

<sup>99</sup> Walerian Wolski autor wspomnień pt. *Bitwa pod Stefankowem w: Czterdziestą rocznicę powstania styczniowego*, Lwów 1903.

moskiewskiej hordzie, gdzie oficerowi wszystko wolno; lecz pomiędzy Polakami, za wolność się bijącymi, i kiedy zaś chce próbować swej szabli, to niech to czyni na karkach moskiewskich, a nie swych współtowarzyszy.

Rozwścieklony Rudowski, uderzył po pochwie swej szabli, na co odpowiedziałem mu podobnymż gestem. Udałem się do Czachowskiego i przedstawiłem w właściwym świetle powyższy skandal. Rudowski wysłuchać musiał słów prawdy z ust starego wodza, za okazany nietakt; Wolskiemu ze wstydem oddać zabranego konia, i jeszcze go przeprosić.

Po godzinnym spoczynku pod Wierzchowiskami, pomaszerowaliśmy razem na południowo-wschód, i o wschodzie słońca, we wsi Goryń połączyliśmy się z trzecią naszą częścią, która biła się pod dowództwem Rogójskiego i Brückmana.

Teraz dopiero można było przedstawić sobie cały przebieg stoczonej bitwy, i siły rozwinięte przeciwko nam przez Moskali; straty ich jak również i nasze.

Z załogi opoczyńskiego powiatu, wyprawiono za nami: 7 rot piechoty i 2 sotnie kozaków. Lecz w skutek forsowego naszego marszu, i nie przyjęcia przez nas bitwy w jednej stałej pozycji - zdołało wejść w akcję z nami tylko cztery kompanie piechoty, to jest: około 800 żołnierzy i dwie sotnie kozaków, 200.

Z Radomia na Przytyk i traktem ku Białobrzegom wyprawiono dla zajścia nam od czoła, i przeszkodzenia wejścia do puszczy Kozienieckiej: 3 szwadrony dragonów, 360 a bataljon z Białobrzeg, o którym pisałem, wynosił 800. Ogółem zatem, moskiewskich sił, 2160 żołnierzy.

Siły zaś nasze liczyły: piechoty i strzelców, uzbrojonych w karabiny i dubeltówki, kompanij 3 czyli 370 powstańców, kosynjerów 50, kawalerji 19; ogółem powstańców 430.

Moskale stracili w powyższej bitwie: majora od dragonów i 7 oficerów różnej broni poległych, szeregowców zabitych 76; oficerów i szeregowców rannych 230. Razem ludzi 314.

Myśmy znów stracili oficera kawalerji, Górskiego, który poległ i szeregowców poległych 4, oraz rannych, których zabraliśmy z sobą wszystkich, 14. Razem 19.

Ponieważ po pierwszych strzałach alarmowych poszliśmy w marsz, manewrując i dzieląc się częściowo, a tylko w różnych punktach gęstych i mocno podszytych, związanych z sobą kęp leśnych, ukazywaliśmy się, i odpierali wroga aż do ciemnej nocy - nigdzie nas przeto wszystkich razem nie ujrzał, i wzbudziliśmy w nim przekonanie, że najmniej z trzema oddziałami osobnemi, Czachowskiego, miał w tej bitwie do czynienia.

Powyższemi wywodami, dowódcy moskiewscy, przeciwko nam wyprawieni, usprawiedliwiali wielkość swych strat, i niedokonanie przez nich, poruczonego im planu osaczenia nas w polach i zniszczenia zupełnego.

Sztuką, niedźwiedzi tłuką...